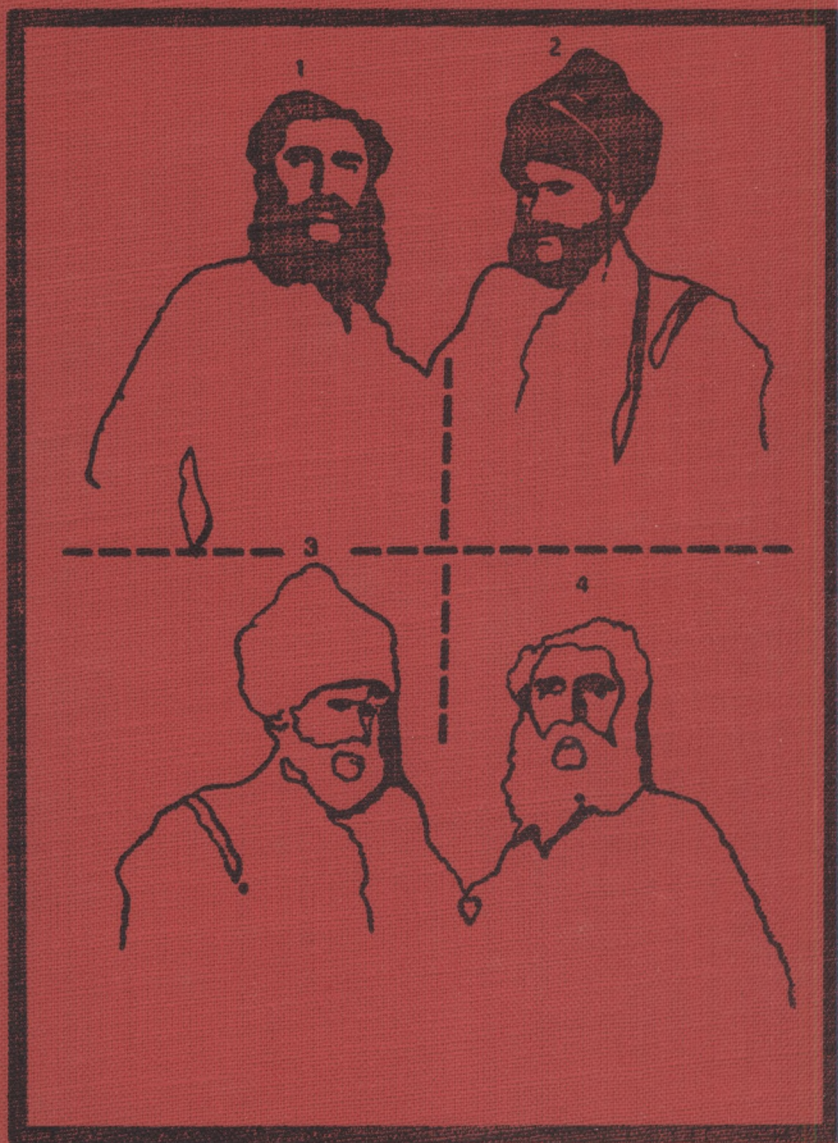


Jurij Janowski
JEZDZCY





JEŹDŹCY

Tytuł oryginału ukraińskiego
WERSZNYKY

Jurij Janowski

JEŹDŹCY



Tłumaczyła
MARIA DOLIŃSKA

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

**Projekt obwoluty, okładki
i karty tytułowej
JERZY KOSTKA**

**Redaktor
JADWIGA BIAŁOWAŚ**

**Redaktor techniczny
MAREK ŁOŚ**

ISBN 83-222-0180-X

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1982

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1982

Wydanie I. Nakład 9828+272 egz. Ark. wyd.
6,7. Ark. druk. 5,75. Papier druk. mat. kl. V
70 g, 82×104. Oddano do składania w sierp-
niu 1981 r. Podpisano do druku w grudniu
1981 r. Druk ukończono w marcu 1982 r.

Cena zł 42,—

**Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne, Rzeszów
ul. Marchlewskiego 19. Zam. nr 6764/81 T-7-27**

PODWÓJNY KRĄG

Srożyły się szable i konie biegały bez jeźdźców, i Połowcowie nie poznawali się wzajem, i z nieba lał się żar słoneczny, i pohukiwanie żołnierzy przypominało krzyki jarmarczne, i wzbijały się tumany kurzu jak nad stadem bydła. I oto rozproszyli się wszyscy po stepie, i Owerko zwyciężył. Chwast czarnego baszłyka obijał się o jego ramiona.

— Rąbacie, wiara, białą kość!

Kurz opadał. Ktoś z oddziału Andrija uciekł. Ktoś wyciągał ręce — i odrąbywano mu ręce, podnosił do nieba pokrytą kurzem, spoconą twarz — i rąbano szablą tę twarz, człek padał na ziemię i gryzł ją krztusząc się w przedśmiertnym bólu — rąbano po nim, gdzie popadło, i tratowano koniem.

Oddziały starły się na stepowej równinie pod Kompanijiwką. Wznosiło się nad nią niebo niczym błękitne wieże. Był sierpień 1919 roku. Oddziałem Armii Ochotniczej generała Antona Denikina dowodził Połowec Andrij. Watahę konnych kozaków głównego atamana Symona Petlury prowadził Połowec Owerko. Stepowi piraci zderzyli się burtami i wciągnął ich w swój wir duszący sztorm stepu. Był to sierpień o niesłychanym tembrze.

— Dawać ich tu!

I podprowadzano postawnych chłopów stepowych, i spadały ich głowy jak arbuzy (a pod nogami był basztan i konie zatrzymywały się przy arbusach), ktoś krzyczał nieprzytomnie i niewyraźnie jak we śnie, a tamten padał jak podcięty wiąz z odłupującą się korą i osypującymi liśćmi.

— Szukaj, duszo, brodu!

Świstały szable, chrzęściły kości i do Owerka podprowadzono Andrija.

— Ochwicer? Ohg, ależ to ty, bracie?!

Andrij głowy nie zwiesił, zranioną rękę wetknął za klapę frencza, zboczywszy mundur krwią.

— To ja, przeklęty mazepo!

— No, co? Pomogli ci twoi generałowie?

Wysoki Andrij jakby jeszcze wyrósł, Owerko bawił się chwastem swego baszyka jak dziewczyna warkoczem, obaj byli wysocy i barczyści, o drapieźnych, zakrzywionych nosach i szarych oczach.

— A żyć ci się chce? — pytał Owerko. — Koło naszej Do-finiwki igra sobie morze, a stary ojciec Musij Połowec patrzy przez lornetkę, czy nie nadpływają makrele, pamiętasz, to ty przywiozłeś lornetkę z tureckiego frontu.

Andrij rozpiął frencz na piersiach i podniósł wysoko w górę poranioną rękę, jakby wzywając pomocy, lecz chciał tylko zatamować w ten sposób krew z rany.

— No, komedia! — pokrzykiwali chłopcy Owerka, nie opodał zarżał z bólu koń obracając się w kółko, spieka i duchota spadły na step, a na widnokregu wznosiły się wieże takiego błękitnego w południe nieba.

— Ścierwo petlurowskie — powiedział Andrij — macierz Rosję sprzedajesz Galicjanom! Biliśmy ich na śmierć w Kar-patach, nie chcemy austriackiego jarzma.

Owerko roześmiał się, mrugnął do kozaków, powstrzymał chłopaka, który wyrwał szablę i zamierzył się na Andrija. Chłopak ze złością zaczął dźgać szablą arbuz, spieka wciąż się potęgowała, Andrij nie opuszczał ręki i krew ściekała do rękawa, stał przed bratem Owerkiem przygotowany na wszystko.

— Co ci się teraz przypomina? — pytał zwycięzca. — Odesa czy Oczakiw?

— A przypomina mi się tato Połowec i jego stara pogwar-ka...

Owerko przerwał mu, spojrzął na południowy zachód.

— Majstro powieje, oby deszczu nie przyniósł... — rzekł.

— ...i jego stara pogwarka: Wieki całe trwają rody, gdy miłują bracia zgodę.

— No, komedia! — huknęli Owerkowi kozacy. — Krew się z niego leje jak z buhaja, to ja go tak rąbnąłem, gdzie tam ty, na święty krzyż, że ja, a co nasz mu powie — wiadomo, że hulaj dusza bez ciała, a ciało bez duszy!

— Komedia? — z pytaniem w głosie powtórzył Owerko.
— Duży jest nasz ród, głów jego nie zliczysz, prócz nas dwóch

jeszcze trzech go podtrzymuje. Ród to podstawa, ale najpierwsze jest państwo i jeżeli na państwo się zamierzasz, niechaj ród płacze, wtedy brat brata rąbie, tak!

— No, komedia! — huknęły czarne baszłyki, a Andrij pobiełał jak płótno na słońcu, gorąco było na stepie i koniom, i ludziom, a z południowego zachodu miał powiać majstro.

— Rodzie mój, rodzie, przebacz mi, rodzie, że zgody nie miłuję. Ród wymrze, a państwo się utrzyma. Na wieki, amen.

— Przeklinam cię w moim rosyjskim sercu, w imieniu wielkiej Rosji-macierzy, od Warszawy do Japonii, od Morza Białego do Czarnego, przeklinam w imieniu braterstwa i zgody rodowej, przeklinam i nienawidzę w mojej ostatniej godzinie...

— Rąbcie go, kozacy! — krzyknął Owerko i zatoczył się Andrij, i wrzasnęli zwycięzcy, i dmuchnął majstro z południowego zachodu, i wznosiły się nieruchome wieże stepowego nieba.

A na brzegu morza przechadza się stary Połowec, patrzy przez lornetkę na morze, wypatruje wiatru czy fali, szuka na wodzie pali sterczących nad sieciami i przypomina mu się syn Andrij. „Dobrą lornetkę przywozłeś, Andriju”. Zarysowała się na tle morza sylwetka podchorążego armii rosyjskiej, wojującego nadterminowo za wiarę, cara i ojczyznę, bohatera Sarykamyszu i Erzurumu. A morzem sunęła do brzegu barka, widać było rytmiczne ruchy wiosła, na falę i z fali, na falę i z fali. Kłębiła się samotna chmura na zachodzie, nad bliską Odessą; nikt by nie powiedział, że dudnią w niej grzmoty i kryją się błyskawice, chyba tylko stary Połowec i może jeszcze ten doświadczony rybak, który spieszy do brzegu. Barkę dobrze widać, Połowec kładzie się na ziemi i obserwuje ją leżąc. Jest w barce pięciu ludzi. Widać, że to „Jaskółka”. Na rufie — człowiek bez czapki. Trzy umówione znaki się zgadzają. A potem:

— „Macie zieloną skumbrię?”

— „A nocy wam nie starcza?”

Połowec zakasał obie nogawki, wszedł do wody, obrócił barkę dziobem do morza, przytrzymał za rufę i pociągnął do siebie, ludzie wyskoczyli i po umownym dialogu wyładowali z barki ciężkie bele, a staremu Połowcowi przyszły na myśl przemycnicze sprawy syna Panasa:

— Dynamit, co?

— Straszniejsze od dynamitu! — roześmieli się goście i wyciągnęli barkę na brzeg.

Kolega Iwana poznał starego, uśmiechnął się do niego:

— Łowisz ryby, gwardzista, a twój Iwan bije się z białymi?

— Jaki ze mnie gwardzista, rybak jestem.

— Czubenko, wytłumacz mu, że czy tego chce, czy nie chce, jest teraz czerwonogwardzistą. Kolega Iwana ujął dłoń Musija: — Denikińczyków wystrychnęliśmy na dudka, Francuzów okrążyliśmy, jest tu drukarnia, są czcionki, proletariusze wszystkich krajów, łączcie się! — i trzasnął dłonią o dłoń starego, że aż zahuczało na brzegu. Chmurka nad Odessą ruszała rąbkami skrzydeł, zrywał się wiaterek, morze poczerniało. Połowec wsłuchiwał się chwilę w plusk fal obijających się o kamienie. „Huczą, będzie niewielka zawierucha, jakieś osiem stopni, majstro zerwał się gdzieś nie z naszych gór”.

— Majstro gdzieś się zerwał — rzekł Owerko Połowec i rozejrzał się po stepie obstawionym błękitnymi wieżami nieba. Czarnobaszyłcznicy przeszukiwali kieszenie porąbanych nieprzyjaciół, na środku pobojuwiska sterczała spisa z żółto-niebieskim proporcem, podmuchiwał na stepie południowo-zachodni wiatr.

Zawiercił się na wicherze jak wrzeczono, strzelił w górę lejgowaty słup kurzu, rozkwitł pod niebem, potoczył się po drodze zaćmiwszy słońce, przebiegł przez basztan, zahuczał na pobojuwisku, poleciały w górę szmaty i czapki, padali ludzie, rzucały się konie. Rozbiła się trąba o stos końskich i ludzkich trupów, spadła na ziemię ulewa duszącego kurzu, wiatr ponióśł go dalej, za każdym podmuchem przechylały się jego smugi jak ukośnie zacinające strugi deszczu.

Kozacy kichali i otrzepywali się, konie rżały i spoza lasku wypadli jeźdźcy z czarnym sztandarem. Przepuściwszy do przodu taczanki, rozwinęły się w linię.

— Do broni!

— Na koń!

— Karabiny!

— Machnowcy!

A taczanki zachodziły z boku, czwórki koni gryzły pod sobą ziemię, taczanki podskakiwały jak rydwany demonów, terkotały karabiny.

W kurzu jak we mgle błyskało od wystrzałów, piersi pękały

od skwaru, nierównomiernie dmuchał gorącym majstro, jeźdźcy przemknęli jeden raz i drugi.

— Nasi górą, morda w krwi!

— Trzymaj się!

— Chwała!

Przeraźliwe gwizdy, zawarczał w dali grom.

— Puszczaj juchę! — rozbrzmiała komenda Panasa Połowca i nagle umilkły karabiny, nagle ucichły wystrzały. Majstro równo zmiatał kurz. Czarne baszłyki Owerki padały pod końskie kopyta, szable połyskiwały w rękach, bitwa skończyła się tak samo niespodzianie, jak się zaczęła.

Owerko Połowec siedział na ziemi przy kole taczanki, głowę miał rozsiekaną, patrzył na swoje nogi, dłonią przyciskał ranę, jeszcze nie umierał, nie uchodziło przez ranę jego mocne życie i wtedy Panas Połowec podszedł z rewolwerem w rękę przypatrując się Owerkowi.

— Spotkaliśmy się, bracie — potrząsnął włosami, co mu spadały aż na ramiona — tam Andrij też leży, dobry żart, a ja siedzę sobie w lasku i czekam, kiedy przestaną się bić, a oni już przestali — jeden nie żyje, drugi ledwie zipie, no co, zachciewa ci się Ukrainy?

Owerko nie podniósł oczu. Podjechał na koniu czarny od kurzu czternastoletni Saszko Połowec.

— Pozwól, ja go domęcze!

— Durniu, to Owerko.

Saszko zbladł, zeskoczył z konia, podszedł do brata, wziął go pod brodę i uniósł mu głowę.

— Owerko, biedo moja — powiedział głosem starej Połowcowej.

Owerko charknął mu w twarz krwią, której miał pełne usta, i jęknął.

— Machnowski siepaczu — cicho powiedział patrząc wciąż na swoje nogi — matka-Ukraina krwawymi łzami płacze, a ty uwijasz się z bandą po stepach z nożem za cholewą.

Panas stał przed nim mocny jak dąb i rechotał. Saszko wytarł bratu krew z twarzy i chwycił za broń.

— W imieniu baćka Nestora Machny — wciąż śmiał się Panas — sprawę ci wytaczam i przed sądem stawiam. Za zabójstwo dokonane na rodzonym bracie Andrij — utopić w morzu, za popieranie państwa ukraińskiego na terenie matki — porządku anarchii — odrąbać głowę.

Owerko znowu wypluł z garść krwi, chmura na południo-

wym zachodzie powiększała się groźnie, majstro przechodził powoli w hreho, wiatr wiejący z przeciwległej strony, hreho pędził chmury ze wszystkich stron, piętrzył je, zbijał do kupy jak stado, słychać było głucho dudnienie, słońce paliło.

— Dajcie pić — powiedział Owerko.

Powiódł wzrokiem po nogach, które stały przed nim jedna przy drugiej, zawrzał w nim gniew, ale pohamował go i rzekł:

— Pamiętasz, jak nas tato uczył: Wieki całe trwają rody, gdy miłują bracia zgodę.

Zawarczał grom zwiastując ulewę. Panas Połowec zamyślił się. „Rybacki nasz ród stary, z morzem ród zbratany, a ród w państwo wrasta, prawu podlega i ograniczeniom, my zaś dźwigamy na ramionach anarchię, po co nam ród, skoro nie trzeba nam państwa, nie trzeba rodziny, tylko swobodne współzycie!”

— Przeklinam cię...

— Poczekaj, z przeklinaniem, ja, wolny marynarz bat'ka Machny, daję ci chwilę, żebyś pomyślał sobie, zastanowił się, bo dobrze chyba mówię, chłopcy, że zdechnąć jeszcze zdąży, a może ten zawzięty przeklętnik z rybackiego Połowcowego rodu będzie nasz, nie darmo w „Oświacie” w Odessie grał w teatrze i seminarium nauczycielskie skończył, prawdę mówię, bracie?

— Przeklinam cię mocą wielkiej nienawiści brata, niech spadnie na ciebie klątwa losu naszego garbatego, siepaczu machnowski, złoczyńco i katorżniku, przeklinam cię przed Bogiem, światem i dniem jasnym...

Owerko nie podnosił wzroku i nie zobaczył swojej śmierci, która wyleciała z mauzera Panasa, błyskawica rozcięła chmurę i od razu zagrzmiało.

— Deszczem pachnie, na koń, chłopcy!

W odległości jakiegoś kilometra rozpostarła się szara, wysoka zasłona, padał tam deszcz, na słońce sunęły chmury, step pociemniał, ziemia zdawała się drżeć w oczekiwaniu deszczu, hreho dmuchał miarowo na wysokościach.

A na brzegu morza przechadza się stary Połowec zatopiony w myślach, patrzy przez lornetkę, żeby nie przegapić kogoś obcego, a w przybrzeżnej pieczarze wre praca. Czubenko się tam rządzi, setny chłop, robi za trzech i tak pędzi maszynę, że trudno nadażyć z podkładaniem papieru. A jest te-

go papieru cały stos, starczyłoby dla całego wybrzeża na skręty, a drukuje się i po naszymu, i w takim czy siakim języku, dla francuskich marynarzy i dla greckiej piechoty. Kto wie, po jakiemu tam gadają, musi być pod dostatkiem dla wszystkich, ba, przecież — komitet rewolucyjny. Skierowane w stronę Odessy bystre oczy rybaka dostrzegły na brzegu człowieka. Przez lornetkę zobaczył Połowec, że to żołnierz. Na stepie ukazała się inna postać. Widać było przez lornetkę, że to też żołnierz.

Rybak obejrzał się, czy niebezpieczna pieczara jest dobrze zamaskowana, i poszedł brzegiem dalej, aż do umocowanych na palach sieci. Żołnierze zbliżali się. Nad Odessą padał deszcz. Nasyp zasnuty był mgłą, na redzie dymił kłężownik i torpedowce, żołnierze przybliżali się. Hreho sypał deszczem na morze, jakoś nie widać patrolu, może przyjedzie później samochodem lub motorówką. Stara Połowcowa jest gdzieś w Odessie na targu, alboż można wyżyć z tych ryb. Żołnierze się przybliżali. Szli miarowym, żołnierskim krokiem, jakby przyciągani magnesem, Połowec obmacał swoje kościste ręce. Wzrostu był średniego i zawsze się dziwił, kiedy niczym bór otaczali go synowie, chłopcy jak te dęby. Żołnierze się przybliżali. Byli to obcokrajowcy, jeden z nich podszedł pierwszy. Połowec udawał, że nic nie widzi. „Po jakiemu z nim gadać?” Żołnierz podszedł tuż blisko — czarnowłosy, szczupły. „Po jakiemu z nim gadać?”

— „Zieloną skumbrię” — usłyszał Połowec.

— „A nocy wam nie starcza?” — nie zastanawiając się rzucił odzew rybak, serce zaczęło mu bić z radości jak za młodu, objął żołnierza.

Nad Odessą opuszczała się zasłona nieprzyjemnego deszczu, morze było aż czarne.

— Trzeba zakopać — powiedział Panas Połowec zatrzymując konia przy martwym Owerku — uparty był hultaj.

Drobny deszcz siąpił, postawiono w pewnym odstępnie dwie taczanki, rozpięto między nimi koc, sam Połowec, wzięwszy łopatę do sypania szańców, kopał schronienie dla dwóch braci. Oblewał się perlistym potem, ciężki był i mocny ten czwarty Połowec, niegdyś marynarz floty handlowej i przemysłnik.

Saszko skulił się na taczance koło karabinu, nie zwracał uwagi na deszcz, zdawało mu się, że ręka starej Połowcowej

targa go za czuprynę, daleko ciągnie się brzeg, dokoła morze, można się wykąpać i nie bać się kuli, i sieci schną na palach. Takie nieosiągalne jest teraz to rybackie życie, tak pachnie morze i w ogóle nie wiadomo, po co poszedł. Panas zbyt łaskawy dla niego nie jest, ale z powrotem niech idzie diabeł z kulawą nogą, a nie on, Saszko — uparte jest to Połowiec-kie nasienie.

Panas sapał, wyrzucał z dołu ziemię, poczynął sobie z łopata jak kto inny z widelcem.

— No, zdaje się, że starczy! Niech nie powiedzą, że rodu nie uszanowałem!

I odbył się pogrzeb. Deszcz rozpinął swoje żagle, niekiedy przelatywał wiatr nad stepem, dobroczynny deszcz przepajał ziemię. Po twarzy Panasa Połowca toczyły się krople deszczu, wydawało się, że wylewa tak łzy nad otwartą mogiłą, cała wataha ronila takie deszczowe łzy — aż strach, żeby cały bojowy oddział tak gorzko płakał; a deszcz nie ustawał.

I wtedy za ścianą deszczu pojawił się miraż; rozwinął się w dali czerwony sztandar oddziału kawalerii Pułku Międzynarodowego z Iwanem Połowcem na czele. Ledwie smagnęły pierwsze wystrzały, Panas siedział już na taczance, i obracał kaemem na wszystkie strony. Saszko podawał mu taśmy, taczanki prysnęły w różne strony, jeźdźcy poszli od razu w rozsypkę.

— Poddaj się!

— Rzuć broń!

— Czerwoni! czerwoni!

Nie było jednak dokąd uciekać, Iwan Połowec pędził machnowczyków na spieszoną konnicę, pędził pod kule, trzeba było umierać lub poddać się i Panas rozplakał się w bezsilnej złości. Skoczył na czyjegoś konia, padł pod nim, wyprzął konia z taczanki, dosiadł.

— Chłopcy, za mną! Machnowczycy się nie poddają! — spróbował przebić się przez skrzydło Iwana, stracił połowę ludzi, a deszcz lał bez przerwy, konie się ślizgały, Iwan Połowec wzmógł napór i machnowczycy się poddali.

A deszcz wysypawszy nieprzeliczoną moc kropeł, przesunął swoje chmury dalej. Wchłaniając wszystkie opary, przegrupował całe chmurne niebo, odpędzał co mniejsze chmurki i lekkie obłoki, pozostawiając ciemne i brzemienne słońce chmury jako niezawodną oporę i siłę.

Panas Połowec stał przed bratem Iwanem i jego komisa-

rzem Hertem, wszystkie kule ominęły Panasa, stał od stóp do głów zabłocony, w poszarpanej odzieży, bez czapki, ze spadającymi na szyję długimi włosami, stał wysoki i postawny przed chuderlawym Iwanem.

— Widzisz, gdzie się spotykamy, Panasie — rzekł Iwan i zamienił kilka słów z Hertem. Jeńców spędzono do kupy, ze wszystkich stron wracali zwycięzcy z Pułku Międzynarodowego, słońce wyjrzało spoza chmur, rozbliżyła dokoła stepowa równina, powoli podnosiły się za chmurami błękitne wieże stepowego nieba.

Panas stał w milczeniu, wpatrzony gdzieś w przestwór nieba. Podszedł Saszko i usiadł koło niego na ziemi, twarz miał bladą i wciąż mu drgała.

— O, Saszko też tu jest — sposepniał Iwan, a Panas wrzasnął nagle z całej siły:

— Przeklęty bękarcie, nędzna gnido, czarna duszo! Sługusie Lenina i komuny, komu służysz, mordo komisarska?!

— Pogadamy z tobą później — powiedział Iwan — a służę rewolucji, Międzynarodówce — i znowu zamieniwszy kilka słów z Hertem, podszedł do gromady jeńców, przyjrzał się uważnie każdej twarzy po kolei jak częściom maszyny przy ich brakowaniu, przeszedł się w obie strony i zaczął mówić.

— Chłopcy — powiedział — skończyła się oto wasza służba u zdrajcy i bandyty bat'ka Machny. Gada z wami brat waszego Połowca, obaj jesteście rybakami, ojciec nasz jest rybakiem i rybacki jest cały nasz ród. Zwyczajne są moje słowa, ładnie gadać nie umiem, ale i tak mnie zrozumiecie, bo wszędzie na stepach zmagają się teraz dwie prawdy: prawda bogatych i prawda biednych. Cofam się przed krwawym carskim generałem Denikinem, przebijam się do Kijowa walcząc i bijąc nieprzyjaciół, gromiąc ich bezlitośnie. A oto wy — są wśród was pewnie oszukani biedacy — wzywamy was, bo łączy nas ta sama bieda — bijcie się ramię w ramię z nami o prawdę biednych. Biedota i lud pracujący będzie z nami, jak jeden mąż pójdziemy wszyscy do zwycięstwa, niech żyje władza radziecka i Armia Czerwona!

Hert zakomenderował, garstka ludzi przeszła na lewą stronę i stanęła, reszta poszła gromadą przed siebie, poszła wolnym krokiem, wszystkie oczy patrzyły na nich, panowało milczenie. Gromada oddalała się coraz bardziej, ludzie przyspieszali kroku, ten i ów puścił się biegiem, jeden wyrwał się z tłumu i pobiegł, po nim drugi i trzeci, aż biegła już cała

gromada jak stado owiec, biegli ludzie co sił w nogach, nie oglądając się za siebie, byle uciec przed śmiercią. Iwan Połowec kazał wtedy wycelować karabiny. Na jego znak kilka kaemów zaczęło strzelać i strzelanina ta ustała, kiedy zadanie zostało wykonane.

Panas nie spodziewał się łaski, widział, jak zginęli jego wojacy, których zbierał ziarnko do ziarnka, i jak niektórzy z nich przestali być jego wojakami. Przemknęły mu przez głowę obrazy z dzieciństwa: i dziecięce lata na barce, i nocne połowy, przypomniał mu się zapach matczynej odzieży, bezkresny przestwór morza. „To śmierć jest już blisko” — pomyślał i zwrócił się do Iwana z tymi samymi słowami, które usłyszał od Owerka:

— Słyszysz, Iwanie, dwóch już tu zginęło, a wieki całe trwają rody, gdy miłują bracia zgodę.

— Z roduśmy pracowitego, lecz nie wszyscy dorośli do niego. Jedni są bólem hartowani, świadomością podkuci, w nauce proletariackiej mocni, a drudzy to złodzieje i głupcy, wrogowie i ich najemcy. Widzisz więc sam, że ród się rozpada, a klasa trwa i cały świat jest po naszej stronie, i Karol Marks.

— Przeklinam cię — krzyknął Panas w obliczu śmierci — przeklinam w mojej ostatniej godzinie!

Wyrwał spod frencza mały brauning i strzelił sobie w usta, stał chwilę bez ruchu, zakołysał się i w tym rozkołysaniu skreślił się jak zeschnięty liść, wreszcie padł na ziemię rozpryskując jej mokre grudki.

— Zastrzel mnie także — powiedział do Iwana zacięty Saszko — zastrzel, wyrodku.

— Czarci pomiot — mruknął Iwan i chwyciwszy Saszka za kosmyk włosów, sterczący spod czapki zgodnie z machnowską modą, skubnął kilka razy jak trawę, a Hert uśmiechnął się.

Na stepie pod Kompanijiwką pewnego sierpniowego dnia 1919 roku był upał, potem wiał rybacki majstro, kroczyły wysokie i giętkie słupy kurzu, hreho nawiał długotrwały deszcz, nawet ulewę, a jednocześnie toczyły się krwawe bitwy i Iwan Połowec stracił swoich trzech braci.

— Z tego samego rodu — powiedział Hert — ale nie z tej samej klasy co ty.

DZIECIŃSTWO

Równina perekopska, ten ukraiński Teksas, zaczyna się za Dnieprem, na południe od Kachowki, smuga piasków biegnie tu wzdłuż rzeki z południowego zachodu, dziewiczy step ciągnie się aż do Melitopolszczyzny, a na południu — oto Morze Czarne, Zatoka Dżarilgacka i na wąskim pasie lądu samo miasto Perekop, uważane zawsze za wrota Krymu. Równy i bezgraniczny (dla pary ludzkich nóg) przestwór, naga równina bez rzeki i drzew, z rzadka rozsiane pojedyncze wsie i chutory, słońce, duże i palące, toczy się po niebie i zachodzi za ziemię, jakby się pogrążyło w roztoz morską, niebo nie jest niebieskie jak za Dnieprem, lecz barwy delikatnego, błękitnego jedwabiu perskiego, niebo Krymu nad bezbrzeżną dalą stepu.

Ten dziki step był polem bitew na przełomie wielu epok, co nie przeszkadzało perekopskiej równinie bujnie rozkwitać każdej wiosny, wypalać się latem, moknąć jesienią i zamarzać zimą, kiedy hulały po niej srogie, zawzięte zawieje, a we wsiach rodzili się stepowiaczy. I jeden z nich urodził się w tym Teksasie o pięć godzin marszu od Perekopu, rósł na stepie, smażyło go słońce i opalał wiatr, zawsze chciało mu się jeść, bo urodził się w biednej chacie, a pierwszym jego wspomnieniem z dzieciństwa był step.

Człowiek, który nie jest mieszkańcem stepu, nie zrozumie, jak żyją ludzie na nagiej i pustej równinie, ale mały Danyłko wymykał się ukradkiem z chaty pozostawiając siostrę, którą miał niańczyć, i rozciągający się przed nim step wydawał mu się czarodziejską doliną, na której pachnie trawa, pachną kwiaty, nawet słońce pachnie jak żółty wosk (potrzymajcie tylko rękę na słońcu i powąchajcie!). A ile wszelakich smakołyków wyrasta na stepie, można się ich najeść, a potem przyjść do ojca, który pasie liczną jak wojsko pańską trzodę, i tato da skórkę chleba, małą cebulkę i szczyptę soli do niej.

Rośnie na stepie wiele ziół jadalnych, trzeba tylko wiedzieć, które można jeść, żeby nie objeść się przypadkiem błękitu lub wilczego maku, a wszelkie tam przebiśniegi lub kozibród czy ślepek (nie ten, co rośnie na wygonach) albo psianka i polny maczek — wszystko to są nie byle jakie smakołyki, dary stepu. A stepem można iść prosto przed siebie i położyć się na ziemi, przyłożyć do niej ucho — byleś tylko umiał słuchać, bo szumi ziemia i huczy, a jeżeli położysz się na wznak i wpatrzysz w głębokie niebo, gdzie płyną w błękitnym prze-

stworzu chmury, wyda ci się, że sam lecisz w tej niebieskiej głębi oderwawszy się od ziemi, rozgarniasz rękoma chmury, unosisz się w błękitnym powietrzu, a po powrocie na ziemię widzisz, ilu żywych przyjaciół masz na stepie.

I skowronek, co zagubiony gdzieś w niebie śplewa swojej towarzysze, i orzeł, co wisi na wietrze ledwie poruszając końcami skrzydeł i wypatruje zdobyczy, a tu bocian brodzi po trawie jak geometra, jaszczurka przebiegła przez miedzę zielona jak szczypior, brzęczą dzikie pszczoły zbierając miód, świszczy suseł, świerszczyki — nic tylko wygrywają na swoich skrzypeczkach niczym wiejski szewc na weselu.

Tak by się chciało wiedzieć, gdzie zachodzi słońce, aż korci człeka, żeby dojść po równym stepie aż na kraniec ziemi i zajrzeć w przepaść, gdzie nazbierało się już niemało zgasyłych słońc, zobaczyć, jak leżą na dnie otchłani — jak sita, jak patelnie czy jak złote piątaki.

Mały chłopiec, syn owczarza (kiedy się poduczy, zostanie podpaskiem, a w końcu zastąpi kiedyś ojca owczarza) wraca o zmierzchu do domu. Na drodze czatuje na niego druh; mówi, jak gniewała się matka i jak zanosilo się od płaczu dziecko, które Danyłko zostawił samo, więc matka pewnie będzie biła, ale nie trzeba się tego bać; pójdziemy teraz we dwóch na wieczerzę, zjemy, przy mnie mama bić nie będzie, a potem już nie będzie bolało, bo nie boli, kiedy człek jest dobrze najedzony, słowem, trzeba się dobrze najeść i niczego się nie bać. Idą razem do chaty, wchodzą na podwórze, prawnuk Danyłko i pradziadek Danyło — stary jest jak dziecko, mówili ludzie widząc ich — a przed chatą stoi okrągły niziutki stolik i na nim wspaniała wieczerza, bardzo kwaśny chlebny kwas i placki jęczmienne.

Danyłko przyszedł potem do pradziadka, który spał pod wiatą, przyszedł wycierając łzy, co mu się cisnęły do oczu, mocno bije ta zawzięta matka, inna już by ochłonęła z tego gniewu przez cały dzień.

— Bolało? — zapytał pradziadek Danyło. — Nie zwracaj uwagi, przecież to gospodyni i ciężko pracuje, karmi nas, niech sobie bije, a ojciec twój ladaco jest i pijak, znowu go przepędzą od trzody, nie będzie wtedy wyłaził z karczmy, a dumny jest, nikomu się kłaniać nie będzie, a ludziom trzeba się kłaniać, reszpekt mieć, inaczej nie sposób żyć, chyba tak jak ja, goły i bosy na stepie, głodujący wśród ludzi.

Ale Danyłko już spał przytulony do pradziadka, spał bez

tych różnych myśli, co przychodzą z wiekiem, spał jak trawa, co się nakołysała przez cały dzień.

I wszystkie wiosny jego dzieciństwa łączyły się w jedną, pradziadek był jakby znachorem znającym wszystkie tajemnice wiosny i wydawał się Danyłkowi jakimś władcą sprawującym stepowe obrzędy. Wiosna przychodziła co roku piękniejsza i wspanialsza, a zwiastował ją suseł, który budził się przed wschodem słońca w dniu św. Jawdochy i gwizdał.

Pradziadek patrzył, skąd tego dnia wieje wiatr — jeżeli od strony Dniepru, będą dobre połowy, jeżeli od stepu, to dobrze dla pszczoł, jeżeli od niziny, będzie urodzaj; na widok pierwszej jaskółki trzeba było rzucić w nią garścią ziemi — masz, jaskółko, na gniazdo. Jaskółki nie odlatują do ciepłych krajów, poszczepiane nóżkami zimują na dnie morza, rzeki lub źródła.

Potem pojawiał się błękitny pierwiosnek, pradziadek kazał zrywać go czym prędzej i deptać przygadując: Depczę, depczę pierwiosnek, daj, Boże, podeptać, drugiego roku doczekać! A kto nie zdąży tego zrobić, ten na przyszły rok pierwiosnka deptać nie będzie, leżeć będzie w grobie i Danyłko uważał pierwiosnek za czarodziejskie ziele.

A pierwszy grzmot, ten wiosenny budzik, po pierwszym grzmocie ziemia rozmarza już całkowicie, a dziewczęta biegają czym prędzej, żeby umyć się w studni i wytrzeć czerwonym pasem — wyładnieją dzięki temu, a parobcy chwytają węgiel chaty i próbują go unieść — sił im przez to przybędzie, a dopiero po pierwszym grzmocie ludzie jedzą wieczerzę na dworze, nie w chacie, o, ten pierwszy grzmot wiosenny!

Na czterdziestu męczenników, w dniu zrównania dnia z nocą, trzeba było zanieść nauczycielce do szkoły czterdzieści obwarzanków, w domach pieczono pszenne skowronki z dzióbkiem i skrzydełkami, wszystkie dzieci w szkole zajadają te skowronki, ale Danyłko ma skowronka z jęczmiennej mąki, matka płakała, bo nie miała garstki pszennej mąki. Danyłko nie rozumiał przyczyny jej smutku, z dumą pokazywał wszystkim w szkole swego ładnego skowronka, trelował przy tym jak skowronek i zrobił mu gniazdko, skrzydełka miał skowronek takie kształtne, umie matka zrobić skowronka, ze wszystkich innych skowronków jej jest najprawdziwszy! A w środku zapieczone jest źdźbło słodkiej jak miód trawki, bogaci uczniowie dawali już Danyłce za tego skowronka miejski

obwarzanek, ale gdzie tam, czyż widział ktoś w mieście kiedykolwiek takiego skowronka?

Danyłko położył go przed sobą na szkolnej ławce i pisząc w zeszycie nic tylko przyglądał się swemu cacku, a skowronek siedział koło kałamarza jak żywy i zerkał z ukosa, jak trzusi się Danyłko w pocie czoła; a skończyło się na tym, że Danyłko oddał swego skowronka aż za pięć pszennych i poniosł je do domu w zanadrzu: i mama skosztuje pszenicznego skowronka, i dziadus Danyło, i pijus tata, i sam Danyłko, i nawet siostra Wustia possie trochę, bo zębów jeszcze nie ma.

A na Ciepłego Ołeksia sąsiad wynosi z loszku na słońce pszczoły, które wprost szaleją z radości, bo wylezie z ula taka ledwie żywa pszczołka, pogrzeje się na słońcu i lata, lata, aż oczy boją od patrzenia na nią, wkrótce już całe roje latają nad pasieką, a sąsiad pali kadzidło i niebawem będzie już śródpoście, kiedy to wielki post przełamuje się na połowy i starzy ludzie mówią, że słyhać wtedy chrzęst.

Zimno jest w izbie i nie ma chleba, tylko podpłomyki i kiszzone buraki, mama postawiła Danyłka przed ikonami i głośno odmawiając modlitwy, chce, żeby Danyłko również je odmawiał, a Danyłko wciąż nasłuchuje, czy nie zachrząści śródpoście, ale jakoś chrzęstu nie słyhać i modły już się skończyły, więc Danyłko teraz sam rzeczywiście w natchnieniu, odmawia tę ulubioną modlitwę, której go nauczył pradziadek Danyło: „Daj mi, Boże, kartofli, kisielu i zdrowego rozumu”.

W palmową niedzielę pradziadek przychodził wcześniej z rana z jutrzni i święconymi gałązkami wierzbowymi spędzał Danyłka z pieca: „Chłosta wierzbowa, popłacz na zdrowie! Za te wierzbowe razy nie miej do mnie urazy. Siedem dni i nocy do Wielkanocy, wysoki bądź jak wierzba, zdrów jak woda, bogaty jak ziemia!” Wtyka się tę wierzbę za ikonę, najlepsze to lekarstwo, kiedy dziecko chudnie i żółte się robi, schnie. Matka gotuje wtedy tę wierzbę, zlewa wodę do koryta i kiedy księżyc jest w pełni, kąpie małą Wustię przygadując: „Miesiączku Adamie, miesiączku Owramie! Niech na tych kościach ciało narośnie. Nie pomożesz kościom, zmarniejesz z chudości!”

Pradziadek Danyło śmieje się, stojąc w księżycowym świetle na środku podwórka:

— Krowy ci trzeba, dziewczuszko, co!

Wieczorem dziewczęta śpiewają wiośnianki siedząc rzędem na ławie, a chłopcy nie śmieją wtórować, bo śpiewać pieśni

na cześć wiosny — to już obowiązek dziewcząt, więc śpiewają dziewczyny: „Wiosna już, wiosna, piękna, radosna, ze strzech już zakapało, ze strzech już zakapało, młodemu Kozakowi wędrówką zapachniało, wędrówką zapachniało”. I podczas pracy, i w wolnych chwilach, i na dworskich polach, i na własnych biednych zagonach, na czczo i po jedzeniu, po głodowej ziemi dziewczęta śpiewają i wysławiają wiosnę, a parobcy stoją dokoła — taki już jest ten stepowy obyczaj, żeby wszędzie śpiewać i chyba nikt na świecie tak nie śpiewa jak mieszkańcy stepów.

Na śpiewaniu i katorżniczej pracy upływa marzec i zaczyna się kwiecień, kiedy wszystko rozkwita: biała brzoza i śnieżyczki, złota ognica i puchaty, srebrzystoliliowy bniec. Stoją zadumane wiśniowe sady niczym białe rozlewisko w rozgrzanym stepie, pada deszcz dużymi kroplami przybijając zwiewny kurz i parując, dzieci, umorusane i głodne, biegają po deszczu: „Deszczyku, deszczyku, naści tu barszczyku w nowym talerzyku, stoi na stoliku, stoliczek się chwieje, a deszcz leje, leje”.

Danyłko kołysze małą Wustię i nie może wybiec na deszcz, a kiedy już Wustia umrze, położą ją do trumienki jak dorosłą, dziadek Danyło przeczyta coś z psalterza, jakby rzeczywiście mogła coś zrozumieć z tej obciążonej skórą książki, a potem mama będzie musiała upiec dobrych pierogów z kartoflami albo fasolą, żeby wspomnieć duszę Wusti, co prawda, małą i nieznośną, ale zawsze ludzką duszę, co bez wspominków z chaty nie wyleci.

A jak przyjemnie pachnie nieboszczyk, kiedy leży w trumnie na ławie, od okna wyciągają się słoneczne ręce, pradziadek Danyło czyta z książki, z psalterza, trzepocze płomyk nad świeczką jak pszczoła nad kwiatem, zalatuje zapachem umarłego i sosnowych wiórów, można siedzieć w kącie i przyglądać się długo, bardzo długo, jak leży na trawie obcy człowiek, złoty jak Bóg na ikonie, a nad nim lata jego dusza i trzeba się przypatrywać szklance miodu, co stoi w kącie naprzeciw pieca, duszą pije z niej miód i miodu ubywa, ale duszy wcale nie widać, jaka właściwie była dusza tego człowieka — jak skowronek czy jak jaskółka, a może jak motyl albo duży, kąśliwy trzmiel.

Pieczone pierogi z fasolą są bardzo smaczne i pulchne, Danyłko je te pierogi z zapałem, pamiętając, że to za spokój duszy, a baba tego umarłego człowieka jest taka głupia, że zu-

pełnie zapomina, ile pierogów dała Danyłkowi, mógłby wziąć bodaj dziesięć, nic nie powie, tylko lamentuje razem z sąsiadkami. Bardzo dobrze, kiedy ktoś umiera — bez Danyłka się wtedy nie obejdzie: ludzie wzywają pradziadka, żeby czytał psalterz, a prawnuk idzie jako jeden z żałobników i obaj pożywią się przy tym, a na dworze jest wiosna, ciepły deszcz przybija kurz i dni wielkopostne toczą się już jak orzechy.

A w Wielkim Tygodniu, kiedy bieli się izby i sprząta podwórka, matka Danyłka, mimo że biedna gospodyni, która nawet kozy w obórcie nie ma, nawet ona podwórko wymiata i sprząta, w izbie maluje cały szlak z barwnych ciałek i róż, całutki dzień sterczy przy piecu i nikt we wsi nie potrafi tak pieca wymalować jak ona.

Wie o tym cała wieś i wszyscy wzywają Ryhorychę, która maluje piec na kolor niebieski i czerwony, czarny i rudy, żółty i zielony, jak ją nauczyła jej zmarła matka, pamiętająca swoje dalekie strony rodzinne pod Złotymi Noszami, skąd ją przywieziono. Na tej pracy upływa Wielki Tydzień, przychodzi Wielkanoc, która wiąże się we wspomnieniach Danyłka ze łzami matki, bo tato nie wychodzi wtedy z obcych domów i pije ze wszystkimi, co go częstują.

A owczarza Ryhora częstowali wszyscy, Ryhor zaś wymyślał bogaczom, u których pił, opowiadał bajki o sprawkach popów, krzyczał, przeklinał swoje zmarnowane życie, a ludzie słuchali go i nie przerywali, bo wiedzieli, że Ryhor zacznie zaraz śpiewać i po tym jego śpiewaniu nic już więcej człowiekowi nie trzeba.

Danyłko odszukawszy ojca prowadził go do domu, po drodze beształ go wszystkimi słowami, które usłyszał od mamy, a Ryhor szedł starając się stawiać równo kroki i płakał przez całą drogę. Niektórzy chłopcy pokpiwali sobie z Danyłka, że ma takiego ojca, a Danyłko, oparłszy ojca o czyjeś wrota, czym prędzej dopędzał chłopaków i wdawał się w zaciekłą bójkę, bił się sam przeciwko kilku i wracał do ojca pokrwawiony, w podartej koszulinie, ale jako zwycięzca, który zmusił przeciwników, by szanowali nietrzeźwość jego ojca, i na znak swego zwycięstwa zabierał pokonanym nieprzyjaciółom ich wielkanoce gościńce.

W izbie siedziała przy stole matka, siedział pradziadek, na stole stało skromne święcone, z surowym, uroczystym wyrazem twarzy matka podawała ojcu święcony chleb, pijus, jako głowa domu, rozcinał go na krzyż, potem na kromki i rozda-

wał członkom rodziny. Po kamiennej twarzy matki toczyły się łzy i padały na chleb. Danyłko siedział pełen zawziętości po bójkę o honor rodu, pradziadek Danyło łyskał oczami spod krzaczastych brwi, a Wielkanoc była dla Danyłka wprost dopustem bożym, bo w to wiosenne święto staczał tyle bójek, ile starczyłoby innemu chłopakowi na cały rok. Danyłko zabierał bogatym smarkaczom babkę wielkanocną i pisanki, za cenę swej neutralności bujał się na cudzych huśtawkach, karmił myszy okruciami święconego i przyglądał się, jak przemienia się myszy przez ten jego grzech w nietoperze.

W ciągu pogodnych dni wiosennych Wielkanoc nie była więc prawdziwym świętem, lepiej już było na obchodzonym po Wielkanocy Święcie Zmarłych — cała wieś szła na cmentarz, by wspomnieć bliskich, ludzie witali się z nimi słowami „Chrystus zmartwychwstał!”, siedzieli na mogiłach i wspominali zmarłych. Krążyła czarka podawana z rąk do rąk dużym i małym, „Niech spoczywają i na nas czekają”, „Żeby im ziemia lekka była”, a kiedy tata Ryhor intonował pieśń o Sądzie Ostatecznym, ludzie schodzili się zewsząd i kuszytkali żebracy — „Dajcie grosik, matulu, dajcie”, a mama siedziała zasmucona nad grobem babki. „Straszny sąd się zbliża”... — śpiewał tata Ryhor.

Pradziadek Danyło wypijał głębszą czarę i zagryzał cebulą, „W dniu Sądu Ostatecznego, z życiem się wszyscy żegnamy, bogactwa swe zostawiamy”, i wszystkie wiosny z czasów dzieciństwa Danyłka łączyły się w jedną, płynęło jego życie na równym stępie taurydzkim, nieobjęty przestwór ziemi zapadł w jego świadomość jak dzieciństwo, jak maj, w którym rośnie trawa na siano i zioła lecznicze, który rozkwitał po dniu św. Jura.

Święcono wtedy pola i popi w złocistych szatach wymachiwali kadzielnicami, a Danyłko śpiewał pobożne pieśni, święcono źródła i studnie, zielen i wodę, nasłuchiowano, kiedy zakuka kukułka — byle nie na nagim drzewie, bo będzie nieurodzaj, nabierano do flaszek dobrą na choroby oczu rosę św. Jura, pasterze i owczarze pościli tego dnia błagając świętego, by nie pozwolił napadać na bydło wilkowi uważanemu za jego świętego psa, i zaczynał się maj, bujnie rozkwitała gęsta tarnina.

I oto Danyłko z pradiadkiem Danyłem wyszli ze wsi kierując się w step, prosto na południe, rozpościerała się przed nimi błękitna dal, na południowej stronie nieboskłonu, nad da-

lekim morzem pojawiły się pierzaste chmurki jak kwitnący wiśniowy sad gdzieś na skraju ziemi.

Pradziad szedł i śpiewał hajdamacką pieśń o uczniaku — „Idzie sobie uczniak, polskiej jest natury, idzie w szarawarach, co ze świńskiej skóry”, a Danyłko dreptał przyglądając się, jak niebywale wyrosły na niebie białe drzewa wiśniowe, jak się przechyliły w jedną stronę, wiatr dmie na wysokościach to w jednym, to w przeciwnym kierunku, obrywa białe gałęzie rozkwitłych wiśni.

Danyłko mrużył oczy w obliczu tego olbrzymiego świata, stąpając przy boku sędziwego pradziadka, który idzie sobie i śpiewa stare pieśni, opowiada Danyłkowi bajki i przypowieści, uczy, jak się nazywa każde ziele i jaką korzyść przynosi każdy kwiatek.

Trzeba się wiele nachodzić w życiu — wtedy zobaczysz, jakie jest to życie, że aż nie zechce ci się umierać, a cały nasz ród jest ruchliwy, z dziada pradziada, więc Danyłko pewnie też będzie chodził, póki mu nogi nie odpadną. Niepokorny to ród i nigdzie miejsca nie zagrzewa, byli ludzie z naszego rodu wolnymi Kozakami i ziemię uprawiali, osiedlili się nad Psołem we wsi Turbaje i wieczne tam było turbowanie się, ciągle niepokoje i zamieszki, byli ci ludzie najprawdziwszymi buntownikami, a pan umyślił sobie zrobić z nich pańszczyźnianych chłopów, ale caryca Katarzyna miała kochankę, Hryćka Neczosę, z kosza zaporoskiego i ten powiedział turbajanom o tym planie, więc zaczęli się turbajanie dopominać o swoje kozackie prawa, a pan wykradł ich metryki z cerkwi i spalił, sąd nie mógł tych kozackich praw potwierdzić, więc turbajanie pozabijali panów, pobili sędziów i bronili się potem przez pięć lat. Otoczyło wojsko hołyszów i śmierć im zajrzała w oczy. A ten Hryćko Neczosa charakternikiem był jak wszyscy Zaporozcy, przeszedł przez wojsko i wyprowadził turbajanów, skierował ich jednych nad Dniestr, drugich do Perekopu, a my też jesteśmy z rodu turbajanów, nigdy, od najdawniejszych czasów nie byliśmy pańszczyźnianymi i niechaj Danyłko nie będzie. „Każą uczniakowi modlitwy odmawiać, a sami się w tany puszczają i bawią”, dzisiaj wiosenny Mykołaj święci wodę, podpatrzymy ukradkiem, jak będzie chodził po morzu i kropidłem święcił wodę, żeby ludzie mogli się kąpać. Chodzi tak po morzu z kropidłem i kropi, a kto akurat wtedy tonie, tego od razu wyciągnie, osuszy i zaprowadzi do szynku, „Ojcze nasz, któryś jest... i jeszcze bądź

wola twoja... nie wódź nas na ogórki, poprowadź, gdzie melony”, długa, bardzo długa była ta pieśń hajdamacka.

Szli tak przez cały długi dzień wciąż po dworskiej ziemi. „Ziemi ma pan tyle, ile złości”. Zobaczyli morze, pożywili się u rybaków. „Nie masz nad nasz chleb rybacki, a wy, hreczkosieje, siejcie hreczkę, ten dziadek pewnie także tamten świat obszedł pieszo, bo taki jest suchy i czarny, wypijmy, dziadku, po czarce, co, sam Mykołaj chodzi dzisiaj po morzu, a my, widzisz, wylegujemy się na brzegu”.

Pradziadek Danyło wypił czarke, słońce powoli zachodziło, po morzu płynął szkuner kursem na zachód — mijając cypel Dżarilgacki, wyspę Tendrę, cypel Kinburnski i Oczakiw zmierzzał do Zburiwki, Gołej Przystani, Kardaszyna czy Oleszek, a może do samego Chersonia, Brytany czy Kachowki.

Pradziadek Danyło opowiadał rybakom różne historie i śpiewał stare hulaszczcze pieśni, rybacy słuchali rozdziawiwszy gęby, „takiego dziadka nawet diabeł tłuczkiem nie zatłucze”, i sam Danyło się dziwił — nigdy jeszcze nie widział dziadka w takim nastroju, ile było jeszcze sił w jego kościstym ciele, zmierzchało nad morzem i na brzegu chlupotały fale, pachniało stepem, nad którego bezkresem zapadał wieczór.

Rybacy kąpali się wypływając daleko w morze, a pradziadek kąpał się przy brzegu, Danyło pluskał się koło niego nurkując w słonej wodzie, okropnie zmarzł, więc długo biegał i tańczył, żeby się rozgrzać. Pradziadek wygrzebał w ziemi przytulny dołek, wpakował tam Danyłka, a sam stał obok, patrzył na niezliczone gwiazdy, wpatrywał się w ciemność i jakby się unosił w tym modrym przestworzu — nie mógł się napiatrzyć, wciąż tonął w zadumie, a Danyłko smacznie spał i piszczął przez sen jak szczeniak.

Późny był już ranek, kiedy się Danyłko obudził, a pradziadek stał tak samo jak wczoraj, brzeg opustoszał — rybacy popłynęli na połów.

— Chodźmy, synku — powiedział pradziadek — dzisiaj Szymona Złotego i zbiera się lecznicze zioła, chodźmy, poszukamy na czczo pokrzyku, żebyś ty jeszcze długo deptał grzeszną ziemię, a ja żebym przed Panem stanął.

Głos pradziadka brzmiał uroczyście i jakby z tamtego świata, opuścili brzeg morza i zagłębili się w step, w jarach unosił się jeszcze lekki opar nad trawą, duży ptak stepowy szybował pod niebem, wiatru nie było, cisza dokoła, i przyszli oto na najwyższe chyba miejsce. Słońce przypiekało, zmorzyło ich

gorąco. Danyłko niósł pełne naręcze ziół, korzonków i kwiatów, darzymlecznia pachniała słodkim chlebem.

— Widzisz tu, Danyłko, i stepowy śláz turecki — powiedział pradziadek i nachylił się nad kwiatem, wtem ugiął się w kolanach, rozpostarł ręce, jakby obejmując ziemię, upadł, usłyszawszy, zda się, jakąś tajemnicę, sterczała w trawie jego biała broda, zmętniałe oczy obrzuciły Danyłka spojrzeniem „depcz, synku, ziemię” i był już pradziadek martwy.

Danyłko rozejrzał się wtedy dokoła, po raz pierwszy poczuł się samotny i jakby go wiatr zdmuchnął, pobiegł na oślep przed siebie pod palącym słońcem stepowym i odległość między pradziadkiem i wnukiem wciąż się powiększała, jakby przyroda teraz dopiero zapragnęła przywrócić tę równowagę pokoleń.

BARKA NA MORZU

Tramontana wiała od brzegu, był styczeń czy luty, morze zamarzło na przestrzeni ze stu metrów, toczyły się fale na morzu, na widnokregu były czarne z białymi grzywami, a do brzegu biegły pod wiatr, który zdmuchiwał te ich białe czapy. Lekki sztorm porozbijał bryły lodu przy brzegu, wszystko zwiastowało, że wkrótce już zahuczy mocno sztorm, na brzegu stała stara Połowcowa, odzież jej trzepotała jak na kamiennej figurze, stara Połowcowa była wysoka i surowa jak rybaczką, o której śpiewano pieśni.

Odesę było widać po drugiej stronie zatoki, wznosiła się nad brzegiem jak kadłub starego szkunera, z którego zdjęto ożaglowanie, by zainstalować silnik lub maszynę parową. Odessa przeżywała jeszcze jedną morską zimę, nie omijały jej wiatry wiejące ze wszystkich kierunków, nawiedzały czasem mgły znad morza, wilgotne, gęste i szare. Tak samo teraz nadciągnęła niespodzianie mgła i przesłoniła Odesę. Połowcowa stała bez ruchu, nie opodał na brzegu krzątałi się przy szkunerach rybacy z artelu, morze wyrzucało na brzeg odłamki lodu, zimno przejmowało do szpiku kości, tramontana wiała szerokimi, miarowymi podmuchami. Była nadmorska zima i zimowa mgła, za jej zasłoną grzmiał już na morzu sztorm pędząc coraz wyższe i silniejsze fale, zapłonęła odeska latarnia morska śląc smugi czerwieni i zieleni, czerwone i zielone promienie.

Połowcowa wyprawiała męża na morze, a teraz wypatrywała

powrotu jego barki, tramontana przenikała do jej serca, serce jej niemal wyskakiwało z piersi, a morze ziało chłodem i huczało, porwawszy jej Musija morze pożądliwie ryczało. Nie zdradzała przed morzem swego strachu, stała w milczeniu na brzegu, wysoka i surowa. Zdawało się jej, że jest niegasnącą latarnią.

Oj, wyszedłeś w morze, Musijeczku — lamentowała bezgłośnie — i zmyła słona woda twój ślad. Gdybym wiedziała, gdybym wypatrzyła, rozgrzebałabym ten ślad rękoma i na brzeg bym cię zawołała. Wiej, tramontano, odpędź niepokodę na morzu, odpędź mgły, a ja będę tu stała sama jedna do końca i gdybym się nawet w drzewo przemieniła, to wszystkimi gałęziami powiewałabym nad morzem i szumiałabym listowiem.

Po wiekach całych pojawiła się barka na morzu, ledwie-majaczyła wśród fal, chowała się na długo za wodnymi grzbieciami, wynurzała się na chwilę i zapadała niczym w otchłań. Walczyła ze sztormem piersią w pierś, a na brzegu słychać było tylko szelest fal i aż strach było spojrzeć na barcę, samotną jak człowiek wśród wodnych gór. Rozkołysało ją morze, przerzuca przez fale, pruje nią bałwany, zimne bryzgi smagają jak ogień, przymarza do ciała przemoczona odzież, lecz nie poddaje się rybak Musij, z jakimś obcym przebija się do brzegu.

Stara Połowcowa nie odrywała od nich wzroku, sercem była przy barce, na brzegu gadali z sobą rybacy z artelu Musija, z osady biegły w stronę morza dzieci. Zebrał się cały tłum na brzegu, z dala stała stara stepowiaczka Połowcowa i patrzyła, jak walczy jej mąż z morzem, nad którym kłębiła się mgła i zimno było przejmujące.

— Wiosłują — odezwał się ktoś — ale czym im tu pomóc w taki sztorm?

Młodszy rybacy pobiegli do barek, zastąpili im drogę starsi:

— Nie róbcie głupstw, chłopcy, barki przepadną i was zjedzą kraby, a nasz artel jest biedny i Musij Połowec, co stoi na jego czele, głowy nam poodrywa za zaprzepaszczone barki, jeżeli żywy dopłynie.

Stara Połowcowa ujrzała, jak złamało się wiosło i barka zaczęła się obracać w kółko, na oczach wszystkich, co stali na brzegu, dwakroć obróciła się w miejscu, uderzyła o nią fala, druga ją pchnęła, podrzuciła i przewróciła, łódź poszła pod wodę. Rybacy rzucili się wtedy do barek, zepchnęli na morze „Jaskółkę”, chlubę całego artelu, wsiało do niej czterech

chłopów na schwał, podnieśli w górę wiosła, żeby od razu wyskoczyć na fale, na strzępiastą, wysoką fale. Zwaliała się „Jaskółka” na bok, lodowe bryły uderzyły po poszyciu, chlusnęła woda przez burtę, rybacy znaleźli się w wodzie i zabrali się do ratowania „Jaskółki”. Fale zbijały ich w gromadkę, lodowe bryły raniły w głowę, rybacy uczepili się „Jaskółki”, z brzegu rzucono im linę z pętlą, zamocowali ją na łodzi i wyciągnęli „Jaskółkę” na brzeg.

Widać było na falach barwę Musija, przewróconą do góry stępką, rybacy poźdejmowali czapki i nagle zobaczyli na morzu wyciągniętą rękę ludzką. Ktoś płynął w pokrytym lodowym kruszywem morzu, płynął kraulem, miarowo pracując rękoma, a fale unosiły go z powrotem na morze, w morską mgłę. Człowiek kierował się do brzegu.

Wystąpił z gromady rybak potężnej budowy ciała ze zwojem liny w rękę, wychylił szklanekę spirytusu, wszedł do wody i od razu posiniał, na brzegu zaś rozwijano linę i osilek popłynął na spotkanie człowieka w morzu. Obijały się o niego bryły lodu, wypłynął jednak na wolną od nich przestrzeń wlokąc za sobą linę, a tamten człowiek już ginął wśród fal, leżał na grzbiecie, ciskało nim na wszystkie strony, rybak płynął jednak, wciąż płynął.

Okazało się, że człowiek jeszcze nie zginął, z zimna stracił przytomność i ocknąwszy się zaczął ze wszystkich sił płynąć do brzegu. Obaj pływacy spotkali się wśród fal, długo nie mogli chwycić się za ręce, wciąż rozdzielały ich fale, aż powiodło się w końcu, jak struna napięta się lina łącząca rybaka z brzegiem, chwyciło ją kilkadziesiąt rąk, kilkadziesiąt rąk zgodnie ciągnęło. Pływacy zbliżali się do brzegu zachłystując się wodą, przebijając się przez lodowe bryły. Wygramoliwszy się na brzeg nie mógł stanąć na swoich bosych nogach. Połowcowa poznała Czubenkę. Skostniał cały, biło tylko jego gorące żywe serce, ludzie chwycili go pod ręce.

— Towarzysze — powiedział Czubenko z trudem — płacząc nad bohaterem rewolucji, który mnie wyzwolił z pływającego więzienia francuskiego.

Wszyscy opuścili brzeg morza, pozostała tu tylko stara Połowcowa, wysoka i surowa jak ta rybaczką, o której śpiewano pieśni.

Widać na morzu przewróconą barwę, zginął tam jej mąż Musij Połowec, pożył człowiek, pożył na świecie, ale niczego złego nie zaznała od męża, był doświadczonym rybakim na Morzu

Czarnym pod Odessą, a zawsze tak się już dzieje, że młode wypływa, a stare ginie. Z Dofiniwki przybiegł chłopaczek:

— Babko, dziadka Musija nie będzie, bo tamten człowiek powiedział, że wypłynął dziadek Musij dwa razy, a potem zniknął i tamten rzucił się ratować go, ale uderzył się głową o czołno i nie będzie już dziadka Musija.

Brzeg opustoszał, odeszli rybacy i nikt się nie dziwił, że stara Połowcowa nie ruszyła się z miejsca. Zaczęła się jej żaloba po mężu, tramontana owiewała ją jak posąg z kamienia, sztorm nie ucichał, bryły lodu rozbiły się jedna o drugą, mgła sunęła ku brzegowi, odeska latarnia morska rozblaskiwała czerwienią i zielenią.

Połowcowa myślała o czasach swojej młodości w Oczakowie, była na wydaniu, ślali do niej swaty właściciele ługierów, nie mówiąc już o tych, co mieli własne barki, barkasy, motorówki i jachty. Była z dobrej rybackiej rodziny, z dobrego rodu stepowego, a wziął ją za żonę Musij Połowec, rybak z Dofiniwki, chłopak niepokazny, niższy od niej o całą głowę. Ale taka już jest miłość i tak samo kojarzy samca z samicą w świecie zwierząt. Połowcowa stanęła do walki o życie, o ryby, stanęła obok Musija, a chłopaków napłodzili całą chatę.

Rośli chłopcy nad morzem, ciasno się zrobiło w izbie, bo bary mieli potężne, Połowcowa mocno trzymała dom w garści, była matką, głową rodziny, niezachwiana była jak skała podczas sztormu.

Powyrastali synowie, rozjechali się w różne strony, Andrij wdał się w wuja Sydora, taki sam z niego ladaco i nicwart, Panas przywoził matce przemycone chusty i kolczyki, jedwab i koniak, Połowcowa chowała wszystko do skrzyni i bała się o Panasa. Poród miała przy nim ciężki i droższy jej był niż inni synowie, szła nocą nad morze i wciąż się jej zdawało, że słyszy pląsk jego wiosel i że trzeba go ratować przed pogonią. A Owerko — ten był artystą, grał z Grekami w „Oświecie” i czytał książki napisane po naszymu. Za pieniądze wuja uczył się w seminarium, rybak był z niego marny, ale żał go jej również, nie słysząc o nim od dawna, o Panasie również, i Andrij pewnie zginął, bo śnił się jej jego ślub.

Jeden tylko Iwan pracuje w fabryce i robi rewolucję, a Musij ukrywa karabiny (choć są w Odessie Francuzi). Zresztą nie brak wśród nich naszych, przychodzili po proklamacje i Musij śmiertelnie się wystraszył.

Przewrócona barka kołysała się na falach, sztorm srożył się

nadal. Połowcowej wydało się, że barka się przybliżyła. Morze podrzuci ją do brzegu i trzeba ją będzie wyciągnąć, uratować, podziękuje jej za to artel — bo jaki tam połów bez barki. Wytrwale, nieustępliwie zmierzała łódź do brzegu — co chwila bliżej, co chwila bliżej.

Połowcowa czekała, żeby nie przepadła własność artelu, poszła do samego brzegu, fale chlustały na jej nogi po kolana. Barka wciąż się przybliżała, było już słychać, jak obijają się o nią bryłki lodu, widać już jej smołowane dno i sterczy z wody stępka. Przetoczyła się fala przez czarne, płaskie dno, Połowcowej zamarło serce, za barką coś się wlecze po wodzie, wydeły się jakieś łąchy.

Patrzyła i bała się dostrzec, morze ukorzyło się przed nią, morze niesie zapewne do brzegu także ciało Musija Połowca. Można będzie nad nim popłakać, pożałować, pochować na cmentarzu rybackim, na którym leżą same kobiety, bo mężczyźni tylko marzą, że będą tam leżeć, a spoczywają w głębi morza, pod zielonym żaglem fal.

Połowcowa patrzyła i bała się dostrzec, chętnie by krzyknęła, zawołała swego Musijeczka, fale obijały się o nogi, łódź ocierała się o łydki, barka była już bardzo blisko. Dziób jej wysunął się wreszcie z wody na brzeg, na płyciźnie chrzęściły poruszane falą kamyki. Połowcowa chciała wyciągnąć łódkę, postać ze swoim smutkiem w sercu nad ciałem męża, które już widziała w mętnej wodzie; serce się jej ścisnęło, ręce nie czuły ciężaru barki i wtedy usłyszała głos. Krzyknęła, gdyż był to głos jej męża, zmęczony i taki drogi.

— Biedny jest nasz artel — powiedział Połowec — porzucać barki na morzu nie wolno. Stoję na czele artelu, więc musiałem łódź ratować, a Czubenko pewnie szczęśliwie dopłynął, krzepki jest i taki uparty, za nic nie chciał płynąć beze mnie, póki nie dałem nura pod przewróconą barcę, ale wciąż mnie wołał i nurkował, wciąż mnie szukał.

Stary Połowec stał na płyciźnie z butem w rękę, który rzucał w końcu na brzeg, i zakrzętnął się przy barce. Połowcowa zabrała się do pomagania, bezlitosna tramontana mroziła serce, na brzegu było pusto, atakowało go morze. Tam w dali tonąca we mgle Odessa wznosiła się nad brzegiem jak kadłub starego szkunera. —

Małżonkowie poszli do domu. Szli obejmując się czule, wiała im w twarz tramontana, za nimi biło o brzeg morze, oni zaś szli zgodnie, pewnym krokiem jak przez całe swoje życie.

BATALION SZWEDA

Chersoń, miasto greckich wygnańców, urzędników i rybaków, bujnie kwitną tu lipy, ich odurzający zapach unosi się nad rozpalonym brukiem ulicznym, w tym gorącym dziewięćset dziewiętnastym roku słońce grzeje jak na południu, jak w lipcu i zarazem jakoś inaczej niż zwykle. Kwitną lipy i pachną przedziwnie, ulicami płynie ludzka rzeka, maszeruje oleszkowski oddział partyzancki liczący dwie setki bosych wojaków — batalion Szweda.

Prowadzi go młody komisarz, towarzysz Danyło Czaban, kwitną lipy tak bujnie i wspaniale, że całe miasto pławi się w upajającym tumanie. Za oleszkowiakami, miarowo wybijając krok, maszeruje oddział marynarzy — w czarnych marynarskich kurtkach i spodniach, w bucikach, opadają na karki wstążki marynarskich czapek. Grzmocąc z całej siły w talerze wyprzedza oleszkowiaków orkiestra garnizonowa, kapelmistrz wymachuje pałeczką i poprawia binokle na nosie, słynny w całym mieście kornecista, który złączył swój los z batalionem Szweda, przyprawia o dreszcz tutejszych Czajkowskich i Rimskich-Korsakowów, a z czasem zostanie bohaterem.

Kwitną lipy i każde drzewo zdaje się kłębić jak pieniące się źródło, unosi się zapach lip nad Chersoniem, upojny i ostry, przed orkiestrą idzie sam dowódca bosego batalionu, towarzysz Szwed, oleszkowski marynarz. Pobrzękują na jego nogach ostrogi, obija się o bruk długa, niklowana szabla kawaleryjska, towarzysz Szwed jak każdy marynarz marzy o kawalerii i powoli opanowuje ten piękny rodzaj wojskowego fachu.

O dziewiętnasty roku klęsk i zwycięstw, krwawych batalii i strasznych pobojozisk, przełomowy w swojej sile, niezłomny w swojej woli, nieprzejednany i dobry, fundamentalny, bezsenny roku dziewiętnasty! Roku obrony Ługanska i śmiałych marszów na Carycyn, roku walk z Francuzami, Grekami, Niemcami — pod Mykołajewem i Odessą, roku bohaterskiego, słynnego odwrotu Armii Tamańskiej towarzysza Kowtiucha, roku zdrady Hryhorjewa i Machny. Roku Frunzego, Budionnego, Czapajewa, Szczorsa — a Chersoń poci się w lipcowym skwarze roku dziewiętnastego, zatopiły go lipy, za Dnieprem są biali, Charków, Katerynosław i Carycyn zajęły białe armie, Chersoń jest jakby półwyspem na wrogim morzu, wojska Denikina suną w nieustannych marszach na Moskwę. Jeszcze nie było przełamania pod Kastorną, młody Witalij Pryjmak jesz-

cze nie prowadził dywizji czerwonych kozaków na legendarne wypad, jest na razie lipiec i chersońska spiekota. Zarysowuje się perspektywa wielkich bojów, szaleje pachnąca, natrętna odświętność lip chersońskich, o nieprzejednany i dobry roku dziewiętnasty!

Kapelmistrz wymachuje pałeczką w natchnieniu, majestatycznie, jakby dyrygował wszystkimi orkiestrami rewolucji, jakby dyrygował zapachami lip, a muzykanci posłusznie dmą w swoje miedziane straszdyła. Towarzysz Danyło prowadzi batalion bosych marynarzy oleszkowskich, z których powstaje powoli jednostka wojskowa, wyfasowali wszyscy na ten dzień zielone spodnie i wojskowe koszule starej armii, na żółtych paskach — naboje, maszerują zgodnie, twardo wybijają krok.

Towarzysz Szwed długo wybierał poprzedniego dnia trasę defilady i kazał oczyścić dla batalionu drogę przez plac, żeby nie było pod nogami rzepienia, solanki i ostów czy innych kolców, żeby nie było pod nogami odłamków szkła i żeby można było z fantazją przedefilować w paradnym marszu przed starym bolszewikiem i katorżnikiem politycznym, przedefilować nie patrząc pod nogi i wybijając krok bosymi piętami. Oleszkowski batalion Czerwonej Gwardii chciał zademonstrować, że nie tylko potrafi bić się z białymi, lecz również utrzcć niejednemu nosa gwardyjską defiladą.

Idzie więc chersoński garnizon z towarzyszem Szwedem na czele, zmierza w stronę placu, gdzie stoi już na trybunie cały Komitet Rewolucyjny oraz przyjezdny gość, który spędził pół życia w kajdanach, przechodząc z jednego więzienia do drugiego. Były udane i nieudane ucieczki, płuca ma odbite butami carskich żandarmów, a nerki — kolbami, jego uszy ogłuchły od uderzeń wymierzanych pięściami przystawów, oczy ledwie widzą po mrokach kazamatów, po słodkim życiu na katordze jego kości nęka reumatyzm.

Stoi gość na trybunie, słońce przypieka, unosi się nad placem zapach lip, mającą za Dnieprem zalewiska i Oleszki, nad jego odnogami i Konką zielenią się szuwary i wierzby. Wchodzi na plac towarzysz Szwed, orkiestra garnizonowa, czerwony aksamitny sztandar, wchodzi towarzysz Danyło na czele boso oddziału oleszkowskiego, wstawionego w walcach i niezbyt wyćwiczonego w paradnym marszu.

Mieszkańcy miasta stoją dokoła placu, przypatrują się obrońcom rewolucji, orkiestra lśni i grzmi, połyskuje i rżnie, błę-

kitne, rozpalone niebo unosi się coraz wyżej, jest coraz błękitniejsze i przejrzystsze.

Katorżnik wygłasza przemówienie posyłając garnizon chersoński na bój o rewolucję, z Oleszek biali zaczynają ostrzeliwać Chersoń z dział sześciocalowych, więc widzowie biegną do domu, żeby pochować przed pociskami bydło. Parada toczy się zwykłym trybem, Szwed niepostrzeżenie odrzuca z drogi ostry odłamek butelki, oleszkowscy partyzanci maszerują jakby nigdy nic, ale przybyli z Mykołajewa marynarze puszczają się nagle biegiem, mimo że nie było żadnego rozkazu, pocisk hu-czy i wybucha niedaleko od placu, marynarze padają.

Kapelmistrz, nie tracąc głowy, wyrznął polkę kokietkę i zajęta graniem orkiestra zapomina o strachu.

— Baczość, orły i gwardia! — woła towarzysz Szwed i, jak umie, oddaje honory szablą. Upalny dzień tchnie zapachem rozgrzanych lip.

— Niech żyje gwardia! — woła katorżnik.

Mruży oczy, wciąga w płuca cudowne powietrze naddnieprzańskie, wydaje mu się, że detonacje pocisków to salwy honorowe na cześć wolności i życia.

Oleszkowiaci idą znosząc cierpliwie ukłucia ostów i ostrzał artyleryjski, myślą o przyjemnym dymie kuchni, o giemzowych butach białych oficerów, o szabli towarzysza Szweda i innych przedmiotach wojskowego ekwipunku.

Ostrzeliwanie trwa, pociski spadają na ulice, ogródki, budynki, oddział marynarzy wzięwszy nogi za pas drałuje po Gwardyjskiej na dworzec. Na dworcu wspomniani marynarze odstawiają niewielki wiec i domagają się parowozu, żeby machnąć do domu. Ale nie są wcale marynarzami, to lumpy z Mykołajewa, niezwyčajni wojować pod działami, zwerbowa-no ich obiecując marynarski przyodziewek.

Nie rozbito ich i nie rozbrojono zgodnie z wojennym trybem postępowania, nie popędzono pod bagnetami na zaplecze, bo zaplecza właściwie nie było. Kazano im stanąć w szyku na podwórzu koszar i zaczęło się z nimi zawracanie głowy, ale powoli odszukano kontrę, co chciała bolszewików i nie chciała komunistów i komisarzy, wykryto organizatorów tego karnawałowego oddziału. Byli to i biali od podszewki oficerowie, i sprzedajni, bandycy watażkowie, i specjaliści od mokrej i suchej roboty — przy pierwszej okazji ów marynarski oddział powinien był przejść na stronę nieprzyjaciela. Dokoła pachniały lipy, był dzień niesłychanych rezonansów, baterie

białych w Oleszkach to milkły, to znów ostrzeliwały Chersoń i odpowiadało im jedyne garnizonowe działo sześciocalowe.

Towarzysz Danyło stał przy dziale, obserwował przez lornetkę Oleszki, paliły się tam trafione pociskami domy, matki biegały po ulicach z dziećmi na rękach, matki były ranne, dzieci pokrwawione, widział rączki wyciągnięte do nieba, skąd spadały nieubłagane pociski, widział wiele rzeczy, jakich nie ogląda się przez żadną lornetkę.

— Do własnych domów walimy, towarzyszu komisarzu — uśmiechnął się do Danyła błady na twarzy celowniczy — trzysta pocisków.

Towarzysz Danyło pojechał nad Dniepr, gdzie się przygotowywano do nocnej wyprawy. Wszystkie czajki i barki, którymi przewożono owoce z Oleszek, Kardaszyna, nawet z Gołej Przystani, oglądał sam Szwed, najlepsze wybierał i wynajmował przestrzegając zasad niezbędnej konspiracji.

Pod wieczór ostrzał się skończył, od strony rozlewisk wróciły stateczki pełniące służbę krążowniczą. „Grom zwycięstwa” i „Aurora” — niegdyś holowniki „Dziadek Kryłow” i „Katia”. Leżały na nich wzdłuż burt worki z piaskiem i stały kaemy, dzielne załogi miały te statki, a kapitanowie byli prawdziwymi wilkami morskimi, mimo że nie uświadomione mieszczuchy przezywali ich żabiarczami i żabodusicielami.

Wieczór był piękny i jasny, lipiec hojnie rozlaczkał swój przepych, w czerwcu spadły życiodajne deszcze, co niewiele pomogło, co prawda, zbożu, ale rozrosła się bujnie trawa i burzany, huczał podziemnymi wodami rok dziewiętnasty. Wieczory spowijały Dniepr, wieczory fiołkowe, lśniącoczarne, przesycone zapachami wody i delikatnych nocnych ziół, wierzb i dymu.

Przypominały towarzyszowi Danyłowi dzieciństwo i wczesną młodość, rodził się ból i wzrastał strach o własne życie, zapadały w pamięć słowa nie napisanych ksiązek.

Kapitanowie-żabiarze zameldowali Szwedowi o całodziennych wyczynach swoich korsarzy, na kuter wpakowano kilku „kloszarzy” z pseudomarynarskiego pułku z Mykołajewa i powieziono do „sztabu Duchonina”, a mówiąc po prostu na rozwałkę, żeby zlikwidować ich gdzieś na pustym brzegu Dniepru za Chersoniem zgodnie z wyrokiem trybunału. Z góry, z miasta ciągnęły nad wodę wieczorne wonie lip, słodkie, przejmujące — zapachy szaleńczych egzaltacji.

Jak donosili „bakłażaniarze”, spoza Dniepru, między Olesz-

kami i Gołą Przystanią, nad Limanem Kardaszyńskim i w Kardaszynie białych nie było poza jednym niewielkim przyczółkiem. Można nocą zająć Kardaszyn i pójść do skrzydłowego ataku na Oleszki, podejść przed świtem, a potem — pomagaj, Mykoło, orędowniku rybaków. Ciemną nocą odbiło ze trzydziści barek, na czołowej — sam dowódca Szwed, na ostatniej — komisarz, towarzysz Danyło.

Przepłynęli Dniepr, a dalej poruszali się jego odnogami, między rozlewiskami opadły ich chmury komarów. Nic nie mówiąc partyzanci rozgniatali je na swoich szorstkich rybackich i marynarskich szyjach, na twarzach i bosych nogach. Towarzysz Szwed siedział na dziobie, ściskając między kolanami huzarską szablę. Zbliżała się północ, komarów było teraz mniej, pilot prowadził barki ciekami wśród trzęsawisk, przez Końskie Wody. Rechotały żaby, było parno, szeleściły szuwary, pluskały ryby.

O dziewiętnasty roku dwudziestego stulecia, lipcu na Chersońszczyźnie, ciemne noce, nie odkryte ziemie, bosi kolumbowie! Tylu książek jeszcze o was nie napisano, jakie dramaty wstrząsają ziemią rewolucji, jakie symfonie i chóry rozbrzmiewają w burzliwym powietrzu, jakich obrazów jeszcze nie wystawiono w salach Akademii, o jedyny roku wielkich ludzi uciśnionej, walczącej o wolność klasy, o ziemię walki!

Towarzysz Danyło płynie w ariergardzie desantu na rozkaz sztabu armii zalecający mu „wykonanie głębokiego rozpoznania”, barki rozplynęły się w ciemnościach zdążając na Kardaszyn, batalion towarzysza Szweda wyćwiczony jest od dawna w nocnym pływaniu bez kompasów i locji.

Ileż razy po latach, siedząc nocami nad kartką papieru i usiłując nadaremnie uchwycić obraz, który znika jak cień ryby za nenufarami, Danyło wyciągał ręce i wracał myślą do owej nocy lipcowej, do pięknych nocy młodości. A tymczasem barka przesunęła się za kępą szuwarów i wpłynęła do Zatoki Kardaszyńskiej.

I rozwarła się przed nią otchłań. Roje gwiazd na granatowoczarным niebie, i Droga Mleczna, gwiazdy jak srebrny pył, gwiazdy jak niezliczone światełka, zielone i czerwone, migotały na niezmierzonej wysokości i kołysały się w niezmierzonej głębini. Plejady i Wielka Niedźwiedzica, i „Dziewczyna z wiadrami”. Barka płynęła samotnie pod wysoką kopułą zatoki, cicho pluskały wiosła. Obejrzeni się — batalion

Szweda znikł bez śladu w nocnych ciemnościach spowijających rozlewiska. Barka została sama.

— Oderwaliśmy się od naszych — mamrocze niewyraźnie wiosłarz z wgniecionym nosem — wątrobę ci odbijemy, cholerny bakłażanie, żebyś poznał morską dyscyplinę, gdzie ich szukać, do diaska, prosto kadetom w ręce przypłyniemy.

W szuwarach rozbrzmiał spokojny głos:

— Płyn, bratku, w prawo, na tę wierzbę, będzie tam odnoga i trafisz na trakt.

— A naszych tu nie było, dziadku?

— Przeplłynął Szwed tamtą stroną — odpowiedziała ciemność — nie rzucaj tylko bomb, bo ryby spłoszycie, kosmatego diabła wtedy wyłowię, a w Kardaszynie kadetów jest niewielu, czatują na was pod Oleszkami.

— Ruszaj — zakomenderował Danyło.

Cichy głos rybaka rozplłynął się w ciemnościach, bładzili jeszcze trochę, znaleźli odnogę, wiosłarza ktoś szturchnął pod żebra, że aż zębami szczęknął, żołnierze napierali na wiosła, upłynęło kilka minut, w głębokiej ciszy i ciemności barka łagodnie przybiła do brzegu.

Wysiedli na ten brzeg kardaszyński, znaleźli zarąbanego kadeta i zrozumieli, że bankiet się tu skończył, a goście poszli pewnie umyć ręce i wszystko to bez jednego wystrzału i krzyku. Natknęli się w końcu na żywego człowieka, który o mały włos nie wystrzelił do nich z nagana. Był to naczelnik czerwonej strażnicy.

Towarzysz Szwed rozwinął batalion zgodnie z regulaminem i poprowadził na Oleszki, w ciągu jakichś dwóch godzin chyba doprowadzi, a strażnica musi pilnować i stawić opór kontrze, jeżeli ta wyruszy z Gołej Przystani przez Kardaszyn

— Powiadasz, że Szwedą nie dopędzimy?

Naczelnik strażnicy był wystraszony i zbity z pantafyku:

— Nie zdążyliśmy ze Szwedem wyjść na brzeg i przydusić kontry, a już wszystkie nasze barki pouciekały w szuwały, więc co mam robić?

Wytłumaczywszy mu, co ma robić, Danyło wsiadł znowu do barki ze swoimi żołnierzami i popłynęli do Oleszek wśród nieprzeniknionych ciemności, które miały niebawem ustąpić przed nieśmiałym brzaskiem.

Znowu brzęczały, huczały i grały komary, doskwierały, dokuczały, dobierały się do skóry, kąsały i cięły ariergardę pływającego desantu, co dowodziło, że zawita już wkrótce ranek.

Niebo pobladło, gwiazdy znikły, zaszeleścił wiatr, zakolysały się opary nad wodą, noc nagle poszarzała, wszystko było teraz bezbarwne i straszne.

Donośnie huknął wystrzał na brzegu, błysnął nawet płomień wyrrywający się z karabinu, potoczyło się daleko po wodzie i szuwarach echo. Znowu rozbłyskiwały wystrzały, jeden z powstańców był już ranny, towarzysz Danyło nie pozwolił odpowiadać, lecz napierać na wiosła. Wiosłowali wiosłami i kolbami karabinów, a kule gwizdały. Płynąc co sił skęcili w odnogę i odsapnęli trochę. Otarli pot, co zaczął się od razu lać po twarzach, napili się wody nabierając jej w dłonie lub do czerpaka, nie zdążyli się obejrzeć i już zaświtało.

Strzelił świt od horyzontu do horyzontu, różanopalcy, błękitnooki, musnął czubki wierzb. Zaczynał się lipcowy ranek nad przybrzeżnymi rozlewiskami i Chersoniem, bezgłośnie, bez tematu i kadencji, światło spływało z góry jak z wysokiego wodogrzmotu.

Mgła poranna przewalała się kłębamii po czystej wodzie i jak na komendę w dali zaterkotały karabiny i kaemy, zagrzmiało ciężkie działo.

— Szwed poprowadził do szturmii — odezwał się Danyło oczekawszy chwilę.

Wiosłarzy nie trzeba było popędzać, przed nimi, na wodzie buchnął huraganowy ogień, który zwielokrotniło i spotęgowało ze wszystkich stron echo.

— Marynarze z Mykołajewa wysadzili desant — rzekł Danyło zdjęty najprawdziwszym strachem, z którym się nie zdradzał, gdyż uchodził za mężnego człowieka.

Pękały ręczne granaty, zewsząd dolatywały krzyki i jęki, barka towarzysza Danyła wypłynęła na Końskie Wody, żeby się włączyć do bitwy, z jej burt rozległa się salwa ze wszystkich dziesięciu karabinów.

Przy sterze siedział dowódca prowadząc barkę. Eskadra pseudomarynarzy z Mykołajewa liczyła zaledwie kilka barek i czajek, pozostali nie dotarli do Oleszek i wysiedli na brzeg gdzieś w spokojnym miejscu, żeby wypaść się w życie i wyruszyć pieszo do Mykołajewa. Owe kilka barek z mykołajewowskimi marynarzami wykonało mimo wszystko rozkaz bojowy i dotarło na miejsce boju. Powinni byli wysiąść na pustym brzegu i włączyć się do bitwy na lądzie, kiedy towarzysz Szwed pójdzie do szturmii na Oleszki.

Zachciało im się jednak zakosztować morskiej bitwy, nie po-

słuchali swego nowego dowódcy i zaczęli pukać z karabinów. Wywiązała się w rezultacie bitwa morska, różniąca się nieco od tamtych pod Abukirem, Trafalgarem i Cuszimą, a także od bitwy jutlandzkiej, gdyż tylko jeden z przeciwników był tu na wodzie, drugi zaś miał w swym posiadaniu ląd.

Podobnie jak wszystkie wielkie bitwy morskie zaczęła się ta batalia nagle i skończyła się, niestety, tak samo nagle. Mykołajewianie w swoich marynarskich czapkach wyglądali jak letnicy na maskaradzie.

Na brzegu oficerowie ze złotymi naramiennikami walili do eskadry z karabinów. Posługując się terminologią starych bitew morskich opisalibyśmy to, co się działo, tak: korweta floty atakującej straciła fok i grot, na pokładzie zaczęła się panika, pocisk nieprzyjacielski przebił burłę, kapitan rzucił się do ucieczki wpław; fregata z rozwiniętymi żaglami werżnęła się we własny bryg, pięć masztów z żaglami runęło, jakby były podpiłowane; szybki kliper wycofał się z bitwy wpłynąwszy w gęste szuwały; broniła się mężnie jedna tylko niewielka brygantyna z admirałem i sztabem.

Zaprzestawszy daremnych prób opanowania sytuacji, barka towarzysza Danyła skierowała się prosto do brzegu, strzelając ze wszystkich karabinów. Od strony miasta dolatywały odgłosy beładnej strzelaniny, nie wiadomo było, czy białe kanale nie dobijają partyzantów towarzysza Szweda. Barka mknęła do brzegu, w najkrytyczniejszej chwili oficerowie zaczęli uciekać z brzegu do miasta, ranek zaznaczył się czerwonym kłębem na wschodzie, zrobiło się tak lekko jak we śnie.

Okrążając brzegiem Oleszki, żeby nie wpaść białym w łapy i żeby się dowiedzieć, gdzie są swoi, a gdzie nieprzyjacieli i kogo dobija, okrążając Oleszki, miasteczko wolnych marynarzy, rybaków, bakłażaniarzy, sadowników i starych, emerytowanych generałów, których mieszkała tu cała gromada, bo życie było tanie; ujrzeli dwóch partyzantów towarzysza Szweda.

Siedzieli i wkładali na bosc nogi zgrabne oficerskie buty, a nieco dalej leżeli dwaj oficerowie i zabity utuczony ples jakiejś zagranicznej rasy. Prowadząc towarzysza komisarza do Szweda partyzanci opowiedzieli, że szli przez piaski i step, szli tyralierą i nie było czasu, żeby patrzeć pod nogi, a w dodatku ciemno było i żaden to sekret, że się zmęczyli i nogi mają pokłute. Z kolcami w stopach poszli do szturm.

— Podeszliśmy aż do ich baterii, towarzyszu Szwed wymachuje szablą, jak wrzaśniemy, jak uderzymy, ich armata wy-

strzeliła, ale do kaemu nie zdążyli nawet taśmy założyć. Kapitan od razu się zastrzelił, buciki miał na nogach angielskie, kadeci postrzelali, postrzelali i — w nogi. Odbiliśmy dwóch od gromady, żaden sekret, i pędzimy w stronę wody. Strzelamy i my, i oni, nie poddają się, bestie, pies jest z nimi. Postrzelaliśmy, postrzelali, podchodzimy, żeby zdjąć z martwych buty, a pies nie pozwala, skacze do gardła. Twarde w niej było życie, w tej psiej kontrze, dobijasz ją, a ona chwyta zębami za bagnet, a jaki pachnący jest ranek w naszych Oleszkach, towarzyszu komisarzu...

Zza węgła wytoczyło się coś jaśniejąc złotymi haftami, zdawało się, że wyprowadzono popa w świątecznym ornacie i aż jakby zapachniało kadzidłem, takie to było niespodziane. Konwojowany przez dwóch statecznych marynarzy szedł generał żandarmerii, stary łotr, który dokonywał swego krwawego żywota w Oleszkach, w ich dobroczynnym klimacie.

Miał na sobie mundur szambelana, z przodu i z tyłu gęsto haftowany złotem i kapiącym od złota kołnierzem, i portki z czerwonymi lampasami, a czapkę zdjętą z jakiegoś innego generała — całą złotą, z pękiem białych, przedziwnych piór. Na piersiach, brzuchu i plecach miał ordery, wstęgi i gwiazdy, zdjęli marynarze te ordery ze wszystkich oleszkowskich generałów i powiesili na nim.

Stary łotr, brzuchaty, z wyłupiastymi oczami, przystanął, ciężko, astmatycznie dysząc.

— Idź, ekscelencjo — powiedział stateczny marynarz, bohater przyszłej powieści Danyła.

— Dokąd go prowadzicie?

— Na wieczne kotwicowisko — odrzekł marynarz i pchnął generała kolanem.

O dziewiętnasty roku mścicieli i płatników, dostojny roku porachunków i zapisów w buchalteryjnych księgach Rewolucji, daleki roku żywych generałów żandarmerii, nadzianych astmą, kałem i strachem! Roku nie znalezionych obrazów i tragedycznych metafor, roku miłości i śmierci, bicia serc, które powstały, łatwości ofiar, słodczy ran i wzniosłości uczuć klasowych, o drogi i szczytny roku!

— O wieczne serce ludzkie! — rzekł komisarz Danyło idąc do swego domu. Zobaczył Szweda, który stał na podwórzu, obejmując swoją tęgą i rumianą żonę. W ogródku było pełno kwiatów — bujnie kwitnących i pachnących róż, żółtych aksa-

mitek, nagietków, upojnych goździków, różnobarwnego głogu i słoneczników.

Towarzysz Szwed przerwał na chwilę scenę powitania i powiedział przez ramię żony:

— Idź, Danyło, poszukaj swego domu i zbieramy się, kadeci szybko ochłoną, nowa bitwa — to nie przelewki, podobno w twój dom trafiliśmy, nie poznał pocisk, kto swój i kto kadet.

Danyło poszedł nie czując nóg, stała mu jeszcze przed oczami długa, lśniąca szabla Szweda i ogródek pełen kwiatów, aż do chwili wycofania się pozostawiono go w spokoju, mimo że do wieczora wiele się działo w Oleszkach.

Oddział Szweda przetrząsnął burżujów i porachował się z niektórymi z tych pocziwców, odesłał do Chersonia amunicję, dwa działa, kilka koni i dwa wyleniałe wielbłądy.

Na brzeg oleszkowski wylały przypływające od strony zalewisk resztki załóg z rozbitej eskadry. Te ofiary porannej bitwy morskiej były obdarte i umorusane, bez portek i czapek, pogubionych w zaroślach wiklinowych, szuwarach i rzecznych jamach, nogi ich były pocięte turzycą i podrapane sterzącymi z wody gałęziami. Gołonogie ofiary popędziły do Oleszek szukając nieprzyjaciół, żeby się przyodziać, oraz co tchórzliwszych mieszczuchów, żeby się pożywić.

Tych pseudomarynarzy Szwed wyłowił i odesłał do Chersonia na barce razem z wielbładami. Dzień był wietrzny i suchy, niespokojny dzień wycofania się z rodzinnego miasta — partyzanci bądź powrócą tu jako zwycięzcy, bądź zginą na szlaku wojny.

Dzień upłynął na ciągłym oczekiwaniu napadu białych, lekkie, wysoko płynące obłoki wiatr rozpędził po całym sklepieniu niebieskim. Oddział towarzysza Szweda żegnano serdecznie i przyjaźnie, kobiety miały zapłakane oczy i obrzmiałe wargi. Ruszano w daleką drogę, odbijała od brzegu jedna barka po drugiej. Na jednej z nich stał Szwed oparty o swoją wspaniałą szablę.

Podszedł towarzysz Danyło niosąc na rękach niemowlę, jedyne, co mu pozostało, niemowlę wziął z jego rąk stateczny marynarz, ten ze sceny z generałem. Jego surową twarz rozjaśnił dziecięcy uśmiech, marynarz polaskotał dzieciaka swoimi czarnymi palcami.

— Sierotka — powiedział.

Ostatnie czółno odpiłyło przez Czajkę na Końskie Wody.

Pośród nurtu na samym dnie stał wyzłocony generał zandarmerii ze wszystkimi orderami, do jego nóg przywiązana była na krótkiej linie kotwica, kołysał się w przejrzystej wodzie i poruszał rękami ten martwy generał nadziany astmą, kałem i strachem, przepływając nad nim, niektórzy żołnierze oddawali mocz na jego przeklętą migotliwą wspaniałość.

LIST DO WIECZNOŚCI

Zanosiło się wtedy na bolszewickie powstanie przeciwko hetmanowi i Niemcom, ktoś się wygadał, że zacznie się i potoczy po Psiole, że jego ośrodek będzie w Soroczyńcach i aż do Hadiacza stanie w ogniu cała okolica. Bezdenne niebo soboty przed Zielonymi Świątkami płonęło i błękitniało nad wsią, z lasu wieziono na wozach gałęzie klonu, leszczyny i dębu, tarninę i tatarak, umajano domy na święta, na podwórzach pachniało wędnącą trawą, ładna wieś jeszcze wypiękniała umajona i przystrojona w zieleń, chaty były białe i skromne, podwórza za przekrzywionymi płotami czyste i przytulne, a błękit niebieski lał się i lał bez przerwy.

W dolinie pod drzewami toczyły się spokojnie piękne wody Psiołu, oddział cesarza niemieckiego błakał się po dolinie obszukując każdy krzak, gdy hetmańczycy obszukiwali tymczasem piaski. Pan kapitan pułku Wirtemberskiego kierował poszukiwaniami, hasał przy nim jego doberman szczerkając na każde drzewo, pan setnik hetmańskiego wojska leżał na żupanie pod wierzbą, odpoczywając po pierwszych godzinach rzetelnej gorliwości. Przed nim na rzece trzech chłopcy szukali czarnego dębu, który spoczywał na jej dnie, szukali go zanurzając się pod wodę i wypływając na powierzchnię.

Nudno było na brzegu, zbierało się ludziom na sen, żołnierze z obu oddziałów systematycznie obszukiwali wszystkie zakątki, podwoda z dwoma chłopkami zatrzymała się koło setnika.

— Panie atamanie — powiedzieli chłopkowie — nie jesteście tutejsi i za nic go nie znajdziecie. A ci chłopcy szukają tu czarnego dębu, ale czarnego dębu szuka się przed jesienią, a nie w sobotę przed Zielonymi Świątkami. Ci chłopcy śledzą wasze poszukiwania i dlatego szukają czarnego dębu, panie atamanie, a my jesteśmy tutejsi i stoimy po stronie jego miłości, jaśniewielmożnego pana hetmana, chcemy wam pomóc. Lepiej wiemy, gdzie szukać tego szubienicznika listono-

sza, panie atamanie, tylko niech to zostanie między nami, bo wiejska hołota żyć nam nie da, spalą nas już następnej nocy.

Dwaj chłopkowie powiedzieli panu setnikowi, że na zalewisku są jeziora otoczone dokoła trzcina i szuwarami i że potrafią te zalewiskowe jeziora wyliczyć na palcach. Łowili tam ryby włokami, w swoim czasie chowali się przed rewolucją i listonosz zaczął się gdzieś w jeziorze, czeka nocy, żeby uciekać dalej stepem aż do Soroczyniec.

— Leżysz w jeziorze pod wodą, trzymasz trzcinę w ustach i eddychasz przez tę trzcinę, potem przyjdzie oblawa, postrzela w wodę, rzuci ręczny granat do jeziora, żebyś wypłynął. Uszy ci popękają, zresztą nie zawsze wypłyniesz na powierzchnię jak ogłuszona ryba. Jeden zwyczajnie umrze na dnie i nie wypływa, a drugi może się nawet uratuje, jeżeli wybuch był daleko, a najlepszy to sposób, żeby odszukać zbiega na tujejszych zalewiskach — powiedzieli chłopkowie panu setnikowi.

Od razu zorganizowano poszukiwania jak należy, zaczęto uważnie oglądać jeziora, wrzucać do tych jeziorzek ręczne granaty, chłopcy od razu przestali szukać czarnego dębu w Psiole i poszli odnaleźć chaty tych dwóch chłopków, żeby je podpalić. Chłopkowie zawitali do domu akurat wtedy, kiedy ich domy spowiły już czerwone jęzory i w ciągu jakiejś godziny spłonęły. Chłopkowie osmalili sobie głowy, szukali nagłej śmierci w swoich płonących zagrodach, Niemcy i hetmańczycy metodycznie wrzucali do jeziorzek granaty i strzelali do wszystkich podejrzanych zarośli, listonosza wciąż nigdzie nie było, aż natrafili na niego w sadzawce.

Płytką była, rosły dokoła młode szuwary, doberman kapitana wlaź do wody i kapitan nie kazał rzucać granatu, sadzawka była pusta i wszyscy postanowili iść dalej. Wtem doberman zaczął wściękle ujadać na jakąś kłodę, co leżała w wodzie niedaleko od brzegu wśród grzybieni i rzęsy wodnej.

Pan kapitan kazał obejrzeć tę kłodę i był to leżący bez przytomności listonosz, jego bosc nogi, ręce i twarz były całe czarne od niezliczonych pijawek, całe ich pęki przysały się do ciała.

Pan kapitan zawołał żołnierzy, którzy potwieriali torby i zsykali wszystką sól, jaką mieli z sobą. Od tej soli pijawki zaczęły odpadać, zmuszono listonosza, żeby łyknął trochę kapitańskiego rumu, przyszedł powoli do siebie, w jego jedynym oku zapłonęło życie i przesywająca nienawiść.

— Mimo wszystko znaleźliście — powiedział obojętnie.

Obiad zjadł listonosz z kapitańskiego stołu, w szklance był dobry rum, podłoga w izbie posypana pachnącym tatarakiem, w kątach zielone gałęzie, ściany przystrojone kwiatami, w izbie było cicho, póki listonosz jadał. Poczł, że przybywa mu sił w żylach, chciało mu się spać i miał piękny sen, że niby to niesie mnóstwo listów i ani rusz nie może wszystkich rozdać. A zbliża się tymczasem wieczór, nadchodzi umówiona godzina, spełnia się życzenie i znowu roznosi mnóstwo listów, których nie może rozdać, czas upływa, listów nie ubywa, żadna siła nie tknie listonosza, póki nie odda ostatniego listu.

Kapitan przepłoszył sen, zaczął mówić łagodnie i życzliwie (mówił o cudownym lecie, o cichych świtach jedynej na świecie ojczyzny, o jego, listonosza, życiu wśród tego pięknego pustkowi nad miłą rzeką Psiołem, silił się kapitan na krasomówstwo, żeby wzruszyć serce człowieka do głębi, a tłumacz przekładał), listonosz zaś siedział obojętny i wytężywszy wolę zapominał powoli wiadomości, których zażąda od niego kapitan.

Zapomniał, że jest członkiem nielegalnego komitetu bolszewickiego i że był na odprawie, na której postanowiono, że powstanie wybuchnie dzisiaj nocą. Zapomniał miejsce, w którym zakopał karabiny i kaem, a było najtrudniej zapomnieć właśnie to, zepchnąć w taki daleki zakątek pamięci, żeby ból fizyczny w żaden sposób tam nie dotarł. Niechby ta myśl o broni spoczywała tam jak wspomnienie z dalekiego dzieciństwa i rozjaśniła, opromieniła mu śmierć w samotności i ostatni przed śmiercią ból.

Kapitan wciąż mówił do listonosza, który usiłował już zapomnieć nawet własne imię, trwając jedynie przy swoim niezłomnym postanowieniu — doczekać nocy i przekazać broń powstańcom. Kapitan mówił o dalekich, cudownych krajach, do których listonosz będzie mógł pojechać i podróżować po nich za pieniądze rządu hetmańskiego, niech tylko powie, gdzie jest zakopana broń, na kiedy wyznaczono powstanie i niech wskaże adresy jego kierowników.

Listonosz siedział przy stole i obudziło się w nim przemożne pragnienie, by natychmiast umrzeć i o niczym nie myśleć, chętnie wbiłby sobie nóż w piersi, chciał leżeć w trumnie pod ziemią z poczuciem wykonanego obowiązku. Słowa kapitana brzmiały już mniej łagodnie, setnik hetmański podszedł do listonosza i spojrzał wściekle w jego jedyne oko dostrzega-

jąc tam ciemną otchłań nienawiści i zdecydowania. Jakby po jego ciele przebiegł elektryczny prąd, setnik z całej siły uderzył pięścią w skroń listonosza.

Kapitan wyszedł do drugiej izby na obiad, a setnik pozostał z listonoszem, kiedy zaś kapitan wrócił, listonosz leżał na podłodze i pakował sobie do ust trawę, żeby nie jęczeć i nie prosić o zmiłowanie, a setnik patrzył oszalałym wzrokiem w okno.

— Wszystko kulturalnie — uśmiechnął się do kapitana listonosz.

Nie miał prawa umrzeć, musiał nieść swoje skrwawione ciało aż do nocy, przyjmując wszystkie męki prócz śmiertelnej, a ciężko było walczyć w samotności i nie pozwolić sobie umrzeć. W gromadzie towarzyszy kpiłby z tortur i pluł oprawcom w twarz; przybliżałby chwilę pięknej śmierci niezłomnego bojownika, ale tutaj musiał prowadzić swoje życie jak szklane czółenko wśród czarnych fal, dzieło rewolucji zależało od jego znikomego życia. Pomyślał — wszak jego nienawiść do kontry jest tak wielka, że nie żał mu życia, krew uciśnionej klasy zawrzała w jego żyłach, o, wielki to zaszczyt wznieść się nad własne życie!

I listonosz poprowadził ich na miejsce, gdzie zakopano broń. Szedł przez cichą wieś, czuł na ciele ciepło słoneczne, dotykał bosymi nogami miękkiej ziemi, zdawało mu się, że idzie sam przez fantastyczne stopy, idzie jak cień swego życia, umacnia się w swoim postanowieniu i uporze. Widzi ludzi i wie, który mu współczuje i który go nienawidzi, idzie po pęknięciu między tymi dwoma światami i światy te nie połączą się, gdy jego wędrówka ku śmierci dobiegnie końca.

Doszedł do kupy piasku za wsią i przystanął, słońce zeszło już dawno z zenitu, ziemia drżała w ciszy i spiekocie, Niemcy zaczęli rozkopywać piasek i zmarnowali na to jakąś godzinę. Listonosz stał wodząc wzrokiem po dalekim horyzoncie, po Psiole i zarzeczcu, kilka razy krzyknął dudek, pachniało żytem.

Rzucono listonosza na piasek, na jego ramionach i nogach usiedli Niemcy, rozwścieczeni, że ich oszukał, po dwudziestym uderzeniu wyciorem listonosz stracił przytomność, a kiedy się ocknął, zobaczył, że słońce stoi nisko nad widnokregiem, setnik otwiera futerał pistoletu, a Niemcy niby to się odwrócili. Listonosz krzyknął wtedy i przyznał się, że broń jest zakopana w innym miejscu, że je wskaże.

— Rozstrzelać mnie jeszcze zdążycie, nie ucieknę już przecież z waszych rąk.

Znowu szli przez ciche ulice wsi, było ponad ludzkie siły patrzeć na tego zawziętego listonosza, który podobnie jak listu, nie chciał oddać w ręce wroga swego życia, mężczyźni wyglądali spoza umajonych gałęziami drzwi, po kątach zamieniali ze sobą dziwne słowa, czekali wieczoru i pomocy. Listonosza prowadzono przez wieś jak biedę z nędzą, bito go po drodze, walono butami, podwieszano w stodole na belce, przypiekano świecą i zmuszano do mówienia, on zaś prowadził — gorące łzy padały na piasek — pokazywał różne miejsca i nic tam nie znajdowano. Jeszcze wścieklej szarpano jego ciało, ból zawisł nad wsią, wzbierał rozpaczą i gniewem, w sercach płonąła zemsta, zapadała noc nad wsią, za Psioł, na zarzeczce popędzono stado na noc, dzwon wzywał rozgłośnie na wieczorne nabożeństwo.

Listonosz nie mógł już chodzić i ruszać się, zdawało mu się, że jest smolną pochodnią i pali się cały, serce wyskakuje mu z piersi, krew sączy się z ran kroplami, ból rozciągnął się w jedną wysoką nutę. Był to krzyk wszystkich nerwów i komórek, tępy ból świdrował okaleczale stawy, lecz niezłomna wola umierała jak żołnierz, nie odstępując ani na krok, zbierając resztki sił, oszczędzając hart ducha.

Listonoszowi uwierzono po raz ostatni, wieziono go przez Psioł na piaski, otaczał go oddział wirtemberczyków, jechali na koniach hetmańcy, kuśtykała garbiąc się Wasylowa, przyprowadzono ją wieczorem, żeby przekonała swego zaciętego syna, kapitan oświadczył nieodwołalnie, że rozstrzela ich oboje. Listonosz porozmawiał z matką, matka pocałowała go w czoło jak zmarłego, zasmuciła się, wytarła suche oczy.

— Rób, jak uważasz — powiedziała — co mi powiedziano, to ci powtórzyłam.

Matka szła za listonoszem na zarzeczce i na piaski, syn jej nawet żartował wiedząc, że wkrótce wszystko się skończy, noc była gwiazdzista i ciemna, niezwykła cisza i pustka dokoła.

Przyjechali wszyscy na piaski, zabrano się do kopania, Niemcy stali dokoła, listonosz leżał na wozie i wsłuchiwał się w ciemności, krzyknął jakiś pojedynczy głos, pod łopatami brzęknął metal.

— Stójcie — rzekł listonosz — czyż nie widzicie posłańców, co idą po moją duszę?

W mrocznej dali pojawiło się mnóstwo świateł. Wydawało

się, że to płomyki świec, że wysokie fale, przewyższające ludzi niosą na grzbietach setki świec. Światła kołysały się, rytmicznie wznosiły się i opadały, sunęły z trzech stron, przy czym nie było słycać żadnego gwaru i rozmów. Niemcy zaczęli strzelać, światła się przybliżały płynąc wysoko nad ziemią.

— Widzicie, kto weźmie broń — krzyknął listonosz — zastrzelcie mnie teraz, żebym się nie męczył, powstaną wsie, pójdą komitety biedoty, żegnaj, świecie, w tę ciemną noc!

Setnik podszedł do listonosza, wystrzelił do leżącego i odszedł list do wieczności od szeregowca rewolucji. We wsiach nad Psiołem rozdzwoniły się wszystkie dzwony i było je słycać na wiele wiorst dokoła, we wsiach nad Psiołem zapłonęły olbrzymie ogniska i było je widać na wiele wiorst dokoła, z ciemności biegli na Niemców powstańcy, torowali sobie drogę do broni, nad nimi sunęły w powietrzu świecezki, w ciszy rozszalały się głosy, dalekie pożary, powstanie, szturm i zaciekłość, powstanie!

Do osamotnionego wozu z martwym listonoszem podszedł Czubenko. Tuż obok — pocciwe pyski przeżuwiających karmę wołów. Przywiązane do ich rogów płonące świece paliły się jasnym płomieniem wśród wielkiej nocnej ciszy. Koło listonosza siedziała zgięta w pół Wasylowa nie spuszczać z martwego wzroku. Czubenko zdjął czapkę i pocałował Wasylową w rękę.

List do wieczności odszedł wraz z życiem jak światło dawno zgasłej samotnej gwiazdy.

CZUBENKO, DOWÓDCA PUŁKU

Na koniu jechał Czubenko, koń pod nim był zmęczony i potykał się, oddział Czubenki szedł na ślepo, sosny poleskie następowały ze wszystkich stron, szumiały jednostajnie, sennie szeptały, skrzypiały jak maszty i furkotały jak żagle. Leśna flota żaglowa płynęła w daleki świat, na niebie kołysały się błękitne jeziora wśród śnieżnych pustkowi, kra szła na krę, góra na górę — na wietrze chaos i bitwa.

Czubenko drzemał i wypuszczał z rąk lejce, koń potykał się o sterczące na leśnej drodze pniaki, wspaniała leśna jesień pochyliła się nad oddziałem, było wielu rannych, którzy nieśli przed sobą swoje obandażowane ręce jak białe kielichy. Ten trzymał się za pierś, tamten za brzuch, ciężko rannych nie-

siono na noszach, dwukółki z nabojami wyglądały jak winogrona, bo poprzączepiali się do nich ranni i zmordowani żołnierze. Na czele szli ci najroślejsi, chmurni i nie ogoleni, mocno stawiali nogi ci obwieszeni nabojami i granatami żołnierze.

Oddział Czubenki posuwał się powoli przez las. Zagłębienie Donieckie stało im przed oczami, hutnicy od wielkich pieców i marteniaków, szklarze, górnicy i walcarze, kopacze i zwykli robotnicy, wszyscy szli za swoim Czubenką, za milczącym stallownikiem Czubenką, dowódcą czerwonego pułku, upartym i wytrwałym, nieustępliwym i ruchliwym.

Bili się ludzie zwyczajnie, po doniecku, ślusarze majstrowali przy działach, górnicy walili szabelkami, młotowi bili granatami, nagrzewnicowi smalili z karabinów, kto jak umiał i co lubił. Odcinek tego pułku wytrzymał wszystkie ataki, pułk cofnął się chyba ostatni. Czubenko prowadził oddział, łączności z Armią Czerwoną nie było, tam w dali majaczył Donbas, zakurzony, rodzony, była wczesna jesień dziewięćset dwudziestego roku.

— Poczekaj — powiedział rudy felczer dopędziwszy Czubenkę. Jechał bez siodła, do pasa przywiązał sobie kawałkiem bandaży butelkę z jodyną — w swoim czasie przywiązywali tak pisarczykowie kałamarze. — Powiem ci otwarcie, towarzyszu komisarzu, niewiele już nam pozostało na tym świecie, wszyscy są pobici i chorzy, ranni gniją na noszach, cuchnie od gnijących ran na cały las, zatrzymajmy się gdzieś we wsi, zrzućmy ten ciężar i pójdźmy dalej z wolnymi rękami, nastąpi teraz czarne czasy, Czubenko, wróg depta po piętach, niesiemy rannych i powiem ci w tajemnicy, że kilku zachorowało na tyfus.

Czubenko machnął jednak ręką na słowa felczera i oblizał spieczoną wargi:

— Wciąż chce mi się pić, co to znaczy, że chce mi się pić, w głowie mi huczy cały marteniak, odczep się ode mnie, felczerze, żołnierze chcą zobaczyć Donbas, chcą poleżeć na donbaskiej trawie, prowadzę ich, żeby się połączyć z dywizją, o pół tysiąca kilometrów stąd dymi nasz Donbas, czeka na nasz powrót, i wrócimy do domu, pójdzie nasze zawołanie po kopalniach i zakładach, staniemy się jeszcze silniejszym pułkiem, felczerze, nie godzi się gubić ludzi, a chorych na tyfus odizoluj od oddziału.

Czubenko chwycił się za głowę, zdjął kosmatą czapkę, głowa płonęła, serce pod skórzanym płaszczem biło w przyspie-

szonym tempie, felczer wziął Czubenkę za rękę, przejechali kilka kroków w milczeniu.

— Masz także tyfus, Czubenko, przekaz dowództwo i kładź się, napytałeś sobie biedy.

Czubenko spojrział na felczera, ten umilkł, sosny skrzypiały jak maszty.

— Rozkazuję ci milczeć, z konia nie zsiądę, a moja pukawka znajdzie cię za każdą sosną.

Rudy felczer ze złości zrobił się czerwony jak ogień, szarpnął kałamarz z jodyną i rozbił ciskańszy go na drogę, aż się zachłysnął, klnąc na czym świat stoi. Czubenko nawet się nie obejrzał, pojechał dalej patrząc na mapę, droga leśna znikwała za sosnami, dokoła była jesień i leśna zbutwiałość.

Równo strzelały w górę drzewa podpierając niebo, kołysały się i skrzypiały jak maszty okrętowe. Oddział szedł wśród chmurnego przepychu jesieni, na niebie rozgrywały się sceny tragedii, na niebie z gór sunęły lodowce i pokrywały całe lądy, góry lodowe pływały na morzach, na niebie lądy dzieliły się i odpływały za oceany.

Dokonywały się wciąż te same przez miliony lat kataklizmy, a oddział wciąż szedł i szedł, szedł i szedł i końca nie było temu lasowi, słabo jęczeli ranni, prosili, żeby ich nie męczyć i dobić, ciężka była ludzka męka, nogi puchły, ręce drętwiały, chciało się spać — nieskończenie długo i bez przebudzenia, cel wędrówki już ledwie majaczył, nic łatwiejszego jak stracić dobre imię donieckie, przeobrazić się w trzodę zbłąkaną wśród lasów i nigdy się nie połączyć z Armią Czerwoną. Jedynie obwieszona nabojami straż przednia była jak z żelaza.

Czubenko patrzył na mapę i prowadził oddział dalej.

Niby po dniu morza posuwał się naprzód oddział partyzantów donieckich, zdawało się, że nad sosnami i nad chmurami roztacza się błękit morskiej wody i kołyszą się w słońcu czółna. Oddział musi jednak wyjść na brzeg i obejrzeć się za siebie, na przebyte morze. Na brzegu będzie dymił Donbas, będą jego zakłady, marteniaki, kopalnie i huty, całe piękno pokrytej zielenią równiny. Lekko się tam oddycha, jakby rozciągało się Zagłębie na podgórzu, dygocze całe pasmo górskie w rytmie jego pracy.

Czubenko patrzył na mapę, wkrótce powinna się pokazać leśniczówka, nie sposób się bez niej zorientować. Tak bardzo pragnął ujrzeć leśniczówkę, że zobaczył ją w końcu i popędził konia.

Widać było wśród żółtych pni białą ścianę, połyskiwało w niej okno, chwiało się i kłębił dym płynąc w górę, leśniczówka zniknęła i znów się wynurzała i niebawem okazało się, że nie był to dom, lecz kępa białych brzoź. Za brzożami zaś — leśne jezioro, głuche i czarne, tysiąc lat sypało się do tej wody sosnowe igliwie, więc poczerniała jak woda w zakładach chemicznych.

Cały oddział zatrzymał się nad tym jeziorem, jedni przemylali rany, drudzy chcieli pić, konie cicho rżały nad wodą, kołysały się wierzchołki starych sosen.

— W drogę — krzyknął Czubenko — w drogę, republiko doniecka! — i jakby dla żartu zakołysał się w siodle. Czuł, że skręca go tyfus, trudno mu oddychać, w głowie stukają młotki. — Za mną, proletariusze! — zawołał Czubenko walcząc z chorobą. -

Nikt się nie poruszył, więc zrozumiał, że wybuchł bunt.

— Na wiec, na wiec — krzyczeli partyzanci — dokąd nas zaprowadziłeś, Czubenko?

Występowali starzy kowale, pokazywali wrzody i rany, występowali wielkopiecowi i rzucali na ziemię broń.

— Dość tego błędzenia, zaprzedał się wrogowi, zbłądził stallownik, zrozumcie, że ma tyfus, trzeba go związać, niech do-
wodzi felczer.

Obwieszona nabojami straż przednia stała w milczeniu.

Drzewa nad czarnym jeziorem poskrzypywały jak maszty, Czubenko siedział na koniu w milczeniu, krew wrzała w jego sercu, oczy zasnuwała biała mgła, rozgarnął ją dłonią i wtedy zaległa cisza, wszyscy zrozumieli, że Czubenko chce mówić. A Czubenko na darmo ust nie otworzy, umie się drzeć, przeklętnik, zaraz będzie krzyżeć o Donbasie, o celu, o rewolucji, zajrzy każdemu w oczy i jakby każdy sam sobie zajrzał w oczy. Czubenko i stał wytopi, Czubenko za swego człowieka życia nie pożąda, ale też dopiec potrafi, bo taka piła z niego, taki nieustępliwy, pewnie matka go we wrzątku kąpała, a ojciec w pokrzywy spowijał.

Czubenko milczał patrząc każdemu w oczy, a wtem wypuścił z rąk lejce, zeskoczył na ziemię.

— Trzeba iść naprzód — powiedział zwyczajnie i poszedł pieszo po drodze.

Za nim poszedł jego koń, sosny skrzypiały, i w milczeniu ruszył za Czubenką oddział, jedni na koniach, drudzy na dwukółkach, pozostali pieszo.

I kiedy wszyscy już byli w marszu, kiedy widać było, że nic tego marszu nie powstrzyma, kiedy ranni z obandażowanymi ranami poczłapali za strażą przednią, gdzieś z tłumu padł strzał. Czubenko zatoczył się na oczach wszystkich i zwrócił twarzą do oddziału. Stał spokojny i zdecydowany, jakkolwiek zdawało się, że spojrzeniem żegna się z oddziałem i bożym światem, że lada chwila padnie przed swoimi doniecczanami, padnie jak sztandar, bezgłośnie i nie można go będzie podnieść i czymkolwiek pomóc.

Czubenko stał jednak i stał bez słowa i bez najmniejszego ruchu, sosny w jego oczach odwróciły się korzeniami do góry, przez kręgi mgły widział swoją halę martenowską i oczyszczające odlewów z całej siły cięli części pneumatycznymi przecinakami. Czubenko stał i stał, oddziałowi wydawało się, że jest cały z żelaza i oprze się każdemu nieszczęściu, i wtedy tego, co strzelił, chwyciło kilka rąk. Od razu wybito mu oko i skaleczono wargi, pchano go przez cały oddział do Czubenki, wszyscy poznali rudego felczera, podstępного przybłądę, nikt nie szczędził rąk.

Felczer wytoczył się z szeregów prosto przed oczy Czubenki, upadł, potem stanął na czworakach, jakby chciał wyć na słońce, w końcu wstał, trzymając się za wybite oko, okrwawiony, ryczący z bólu. Czubenko otworzył powoli futerał, wyciągnął broń i, nie celując, położył felczera trupem, wgramolił się na konia i pojechał na czele oddziału, konając od tyfusu i bijąc się po głowie, żeby przepędzić ból.

Na zachodzie słońce zawisło tuż nad lasem i toczyło się dalej w dół, cały las przeszyty był ukośnymi promieniami, które z lekka drżały i kołysały się razem z gałęziami, oplątały drzewa i przecięły drogę jak fantastyczna zasłona, jak rzeka z czarodziejską wodą. Zanurzył się w niej Czubenko i jechał otoczony nimbem, który oślepiał oddział swoją promienistością. Za dowódcą przeszli przez to miejsce doniecczanie nie poznając się wzajem, oblekając się w piękno i moc, młodziejąc i zapominając o ranach. Dwukółka z chorymi na tyfus zatrzymała się na słońcu i chorzy zaczęli marzyć, jedni o martenianku, drudzy o hucie szklanej.

Czubenko zagłębił się w leśny mrok, przechylił się na moment na końską szyję, wyprostował i począł rozpaczliwie otrząsać się z nawału majaków opadających jego mózg. Krzyczał na dołowych, beształ formierzy, wzywał do pieca mistrza, wykłócał się ze składowiskiem, wychodził z inżynierem na pa-

pierosa. Inżynier przedzierzgnął się w śledczego kontrwywiadu francuskiego, ciepły wiatr odeski wiał w ucho, w głowie huczało od ryku morskich fal, na brzegu stała leśniczówka. Czubenko szedł do niej i nie mógł dojść, wciąż stawało mu jakieś drzewo na drodze, co doprowadzało go do rozpaczy. Bez tej leśniczówki nie można wypuścić wytopu z marteniaka, Czubenko ocknął się na sekundę i zrozumiał, że tyfus nie żartuje, że trzeba go odpędzić i prowadzić oddział na Donbas.

Czubenko bił się po głowie, usiłował nie jęczeć, podjechał do niego adiutant i zaproponował, żeby zatrzymać się na nocleg. Słońce tymczasem zaszło, na zachodzie mieniły się amantem i różowością chmury, zachód słońca wróżył niepogodę. Wysoko nad lasem pojawił się ubywający już księżyc, ledwie świecąc bladym światłem powoli pozołkł, potem mocniej rozblysnął i świecił, jak mógł, bo noc już zapadła i oddział Czubenki zatrzymał się na nocleg.

Wśród wysokich drzew biwakowały niedobitki pułku Donieckiego. Przy bladym świetle księżycy pułk wykonywał swoje proste i niewymyślne czynności: w odpowiedniej odległości wystawiono dokoła czujki, kaemiści wyczyścili kaemy, a strzelcy swoje karabiny, lekarz zajodynował rany, zmarłego na tyfus położono z dala na ziemi, czekał na dwóch rannych, którzy dogorywali. Żegnali się z nimi koledzy, obiecywali, że powtórzą ich słowa w Donbasie, w ich zakładach i ich domach.

Dobrze umierali ranni, a zwykle z tego, jak człowiek umiera, można wnioskować o jego życiu. Ranni odchodzili z tego świata z godnością, koledzy patrzyli na nich nie z żalem, lecz z powagą i jeszcze bardziej wzbierało w nich pragnienie zwycięstwa. W oczach zmarłych pozostał na zawsze obraz pogrążonego w nocnym mroku lasu i sierpu księżycy. Żywi pochowali umarłych i stali zadumani nad mogiłą.

Sosny skrzypiały jak maszty, zastępca poległego komisarza wygłosił przemówienie, które wysłuchano w milczeniu, nie było salw i muzyki. Wtem zaintonowali wszyscy półgłosem starą pieśń górniczą, zmordowani żołnierze śpiewali z nadludzką mocą nad martwymi kolegami. Czubenko nie zsiadał z konia, walczył z tyfusem i bał się, że straci na ziemi równowagę, wtórował towarzyszom jak przez sen, jakby bezwiednie, a kiedy pieśń umilkła, zastępca komisarza ciągnął swoje przemówienie.

— Naukowy socjalizm — mówił — a także pokój, co dany będzie chatom, i wojną wypowiedziana pałacom, wymagają

doktryny, która każe bić bezlitośnie wroga, i nasi towarzysze przewrócą się w grobie, jeżeli o tym zapomnimy. Armia Petlury nawiązała kontakt z obcymi panami, chce sobie wywalczyć Ukrainę i nasze niezwykłe Zagłębie Donieckie, ta armia burżuazji i bogatego chłopstwa wymachuje żółto-błękitnymi sztandarami i służy kontrrewolucji, nasi towarzysze leżą w grobie, a wiemy, kto ich zranił — jednego petlurowska szabla, drugiego obca kula — i socjalizm żąda...

A Czubenko już jechał przez las, wyminął posterunek i kazał żołnierzom dobrze pilnować. Jechał na zwiad i miał nadzieję, że znajdzie leśniczówkę albo w ogóle jakieś wyróżniające się miejsce, żeby się zorientować z pomocą mapy. Koń stąpał ostrożnie po leśnej drodze nastawiając uszu, czuł, jak ważna jest ta przejażdżka, czarne pnie i czarne cienie budziły w jego końskiej wyobraźni jakieś atawistyczne obrazy. Koń kilka razy spróbował zarzeć pod wpływem tych wspomnień, na przestrzeni jakichś trzech kilometrów las był gęsty i nietknięty, a potem ukazała się w świetle księżyca szeroka przesieka i widać było, że las się kończy.

Z prawej strony rozciągała się nizina, widocznie nadrzeczna, zaczynał się przy przesiece młodnik, początkowo znaczyły się tu i ówdzie kępy zagajnika, potem coraz większe skupiska zarośli, wreszcie rozsypały się po równinie pojedyncze drzewa, zalaływało od pól zapachem butwiejącej słomy i wilgotnej ziemi.

Wtem koń przystanął, Czubenko odruchowo spiął go ostrogami. Udzielił mu się niepokój konia, za przesieką droga znowu biegła lasem i koń za nic nie chciał tam iść, lecz jeździec go popędził i wjechali oto pod drzewa.

Czubenko trzymał w ręku nagan, pachniało lasem i czymś ludzkim, Czubenko chciał zawrócić z powrotem i nagle coś włochatego spadło na niego z góry jak koszmar. Tracąc przytomność przeklinał wszystkie tyfusy na świecie, chwycił się końskiej grzywy w nadziei, że koń doniesie go do oddziału.

— Drogi towarzyszu Czubenko...

Na stole stała lampa naftowa, leżała przy niej paczka dokumentów i mapnik Czubenki, gruba dębowa belka przecinała pułap, znaczył się na niej krzyż nakreślony kopciem od świecy w Wielki Czwartek czy na Jordana, na piecu dawał się słyszeć ciężki, rozrywający piersi kaszel. Czubenko uniósł się na ławie i usiadł, czuł zawrót głowy, która wprost pękała z bólu, ale Czubenko już panował nad sobą. Nic nie mó-

więc powiódł wzrokiem po obecnych w izbie ludziach, położył ręce na kolanach, ścisnął je z całej siły, żeby się uspokoić, ochłonać i przygotować na śmierć z nieprzyjacielskiej ręki. Jego nagan też leżał na stole, w izbie było trzech mężczyzn, przy piecu krzątała się kobieta.

Izba była piękna, ozdobiona według starego obyczaju, stały tu ławy i skrzynie, na półkach ustawione były malowane talerze, znowu rozległ się ten przykry kaszel na piecu, jakby ktoś tam konał, widać było w mroku duże, zgasłe oczy.

— Drogi towarzyszu Czubenko — powtórzył postawny, barczysty dryblas i uśmiechnął się odsłaniając olśniewająco białe zęby — w imieniu czerwonych partyzantów witam cię w naszej okolicy. Myśleliśmy sobie, co to za ryba wpadła do naszej sieci, a to dowódca pułku Donieckiego, w dodatku sam, i chcielibyśmy wiedzieć, gdzie jest cały twój pułk donieckich partyzantów?

Czubenko siedział na ławie w milczeniu, jego chore ciało drżało z zimna i gorączki, a trzeba było wyteńczyć całą uwagę, skupić wszystkie siły, słuchać bacznie i podjąć decyzję. Odezwał się wtedy drugi — o dziecięcej twarzy, nauczyciel czy seminarzysta:

— Uwierz nam, towarzyszu Czubenko, nie przestraszylibyśmy cię tak, gdybyśmy wiedzieli, że jedzie nasz człowiek, a nie na przykład petlurowski zwiadowca. Bo z nimi walczymy na śmierć i życie, towarzyszu Czubenko.

Trzeci nic nie mówiąc uśmiechnął się nagle łagodnie i życzliwie i uśmiech jak martwy zastygł na jego ustach.

— Powiedz nam, czego ci brak, czego potrzebuje twój pułk, a pomożemy ci, ukryjemy twoich chorych, może odzieży potrzebujecie, może bydła, a przede wszystkim w żywność was zaopatrzymy. A potem pójdziecie do swego dalekiego Zagłębia i może nasi partyzanci pójdą z wami, żeby razem walczyć o rewolucję.

Czubenko powoli wziął ze stołu swoje papiery i mapnik, wetknął do futerału rewolwer udając, że nie widzi, iż wyjęto z niego naboje.

— W mundurze nawet jesteś, Czubenko — ten o białych zębach wyciągnął spod stołu butelkę — może wypijesz na drogę czy tak pojedziesz, rób, jak chcesz. Nasz oddział kwateruje po chatach, wróciliśmy wczoraj z wyprawy i odpoczywamy, wrogów narąbaliśmy niemało. Jutro rano prosimy do nas w gościnę, do naszej wsi, będziemy was oczekiwali na

wygonie i powitamy, a wtedy już zobaczymy, od czego zacząć — żywności potrzebujecie, podwód czy jeszcze czegoś?

Znów ten sam kaszel na piecu, jakby pękały człowiekowi płuca.

Czubenko spojrział w tamtą stronę nad głowami rozmawiających.

— To nasz kaleka, służył w wojsku i był na wojnie, a przyszedł niedawno, nie wiadomo skąd — z Kaukazu czy Syberii, bodaj umrze w domu, bo zostało mu tego życia — aż śmiech bierze.

Były żołnierz zlął z pieca i powłókł się do drzwi trzymając się za piersi. Schorowany niedobitek imperialistycznej wojny, żywy wyrzut i ofiara przeszłości. Czubence ścisnęło się jakoś serce, pomyślał o milionach takich kalek i tysiącach takich wsi, trzeba jeszcze długo walczyć, ciężka będzie droga i wiele wymagać będzie wysiłku.

A były żołnierz wypluł za drzwiami krew i wracał na piec, popatrzył na Czubenkę, zajrzał mu prosto w oczy i było to spojrzenie jakby z odległości wielu lat, głębokie i smutne, Czubenko odniósł wrażenie, że było jakby spojrzeniem zza krat.

Żołnierz wgramolił się na piec i umilkł przycisnąwszy piersi do cegieł.

— Co powiesz na nasze słowa, towarzyszu Czubenko, czy może nie rozumiecie w Donbasie naszej mowy? Ze szczerego serca ofiarujemy ci partyzancką pomoc, więc odpowiedz bodaj słowem.

Czubenko wstał i przeszedł się po izbie, stwierdził z radością, że może chodzić, zobaczył za oknem ludzi i konie, do izby wpadł partyzant z obandażowaną głową:

— Na pomoc, nie wytrzymamy!

Podsłoczył do niego ten z białymi zębami, objął ramieniem i wybiegł z nim na podwórze.

— Uszkodzono mi głowę — powiedział ten drugi o dziecięcej twarzy — rzuca się biedak i bredzi.

Ten z białymi zębami wrócił do izby.

— Uszkodzono mi głowę — powtórzyła dziecięca twarz, a Czubenko nie zapytał, dlaczego ów pomyłony wydaje się być łącznikiem.

— Co to za wieś? — odezwał się wreszcie Czubenko.

— Kamienny Bród, towarzyszu Czubenko, a my jesteśmy partyzantami z Kamiennego Brodu.

Czubenko pogrążył się znowu w milczącej zadumie, w izbie spokojnie i monotonna cykał świerszcz, trzeci, ten milczący partyzant, uśmiechał się, a uśmiech jak nieżywy przygnał do jego ust.

— Dobrze, rodacy — znowu odezwał się Czubenko — jutro przyjdziemy do was w gościnę i w dzień pogadamy, naradzimy się, a sił mi starcza, planuję marsz na nieprzyjaciela z obejściem, ludzi mam gotowych do bitwy i dużo naboju. Pułk Doniecki wie, o co walczy, to nadzieja rewolucji, podpora proletariatu. Piękna tu przyroda, rodacy, olbrzymie lasy, ludzie prości i ufni, oczekujcie nas jutro przed wsią — górników i metalowców, chlubę Zagłębia Donieckiego.

Były żołnierz na piecu nie zdołał powstrzymać kaszlu i Czubenko zobaczył jeszcze raz jego pełne niepokoju oczy. Skierował się Czubenko do drzwi, poszli za nim partyzanci, na podwórzu stał koń Czubenki i jeszcze jeden, dokoła ani żywej duszy. Czubenko dosiadł konia, milczący partyzant wsiadł na drugiego, wyjechali ze wsi i w milczeniu dotarli do przebiegi.

— Tamten żołnierz na piecu wkrótce umrze — rzekł Czubenko.

— Szczęśliwej drogi — odrzekł partyzant i puścił się od razu galopem.

Rozstąpiła się przed Czubenką leśna cisza, wjechał w nią. Sosny dokoła skrzybiały jak maszty, księżyc już zaszedł, zbliżał się świt, wtem zmęczony koń Czubenki głośno zarżał i rzenie to rozbrzmiało niby w ciemnej pieczarze, by powrócić ledwie dosłyszalnym echem. Czubenko jechał przez ciszę jak przez miasto, gmachy tej ciszy strzelały ku nieprzejranej wysokości, Czubenko jechał rok i dziesięć lat, były to jednak minuty i znowu zarżał jego koń.

— Stój! — rozległy się nagle grube głosy jego żołnierzy. Czubenko rzucił hasło i pojechał dalej.

— Czubenko, Czubenko! — niesło się po jego pułku jak echo, pojawił się adiutant i zastępca komisarza, obaj mieli rewolwery zatknięte za pas, podszedł pomocnik Czubenki.

— No, nie spodziewaliśmy się już zobaczyć cię przy życiu, a on jechał za tobą i widział, jak cię capnęli, ale dopomóc nie mógł, więc pojechał z powrotem, wysłaliśmy od razu oddział uderzeniowy po twoich śladach i napadnięto na nas ze wszystkich stron, są zabici i ranni, ale nie tak prosto było nas załatwić. Szliśmy na nich na bagnety, bo naboju mamy

niewiele, a w dodatku las i noc, przy księżycu trudno celować i nie wiemy, co to za ludzie, bo w żołnierskich mundurach i żadnych innych znaków.

Czubenkę otoczyli żołnierze z karabinami w rękę, a tymczasem pierwszy brzask zaczął z lekka szarzyć nad lasem. Straszna była ta chwila bezbarwności i nieznośnej szarości, kiedy po nocnej ciszy rodził się dzień. Szare barwy nabrały błękitnych i różowych odcieni, w lesie rozćwierkały się, rozszczebiały i rozświergotały różne ptaki, przez cały ten tajemniczy czas, kiedy rodziło się światło, Czubenko rozmawiał z żołnierzami, a nad lasem powoli zaczynał dmuchać wiatr.

Czubenko powiedział, jak powinna przebiegać czekająca ich operacja, żeby każdy żołnierz wiedział, co do niego należy, żeby walczył z całą świadomością i oddaniem. Pułk Doniecki może pójść jedną tylko drogą — przez Kamienny Bród i dalej na wschód. Nie sposób było więc obejść, widać było na mapie, że płynie tam rzeka, że otaczają wieś bagniska i nieprzebyte lasy. Trzeba iść do Kamiennego Brodu i spotkać się z partyzantami i niechaj będzie to spotkanie jak się patrzy.

Do wschodu słońca pułk przygotowywał się na spotkanie z partyzantami z Kamiennego Brodu. Ruszyli wreszcie przez las, wszyscy szli milczący i skupieni, szli pod dębami i deptali liście dębowe, szli pod klonami i deptali liście klonowe, nad sosnami brał tu górę las liściasty, Czubenko jechał na czele, mdliło go, robiło mu się słabo, kiwał się na siodle zapadając w drzemkę, co dowodziło, że nerwy ma w porządku.

Wreszcie znajoma przesieka, pułk rozwinął się do natarcia i dotarł do wskazanego miejsca nie spotkawszy nikogo, zatrzymał się wśród gęstych zarośli zagajnika, za którym widać było równe pole i pierwsze chaty wsi.

Czubenko wystąpił z chlubą swego pułku, z jego strażą przednią — szedł na czele pieszo, z karabinem w rękę, wiatr rozwiewał czerwony sztandar, niektórzy żołnierze rozpięli koszule, odsłaniając wytatuowane na piersi pięciokątne gwiazdy. Szedł oddział samobójców, ludzie ci nie pozwalali się brać do niewoli, we wsi było cicho, na ulicy — ani żywej duszy, oddział stał uformowany, jak się godzi regularnej jednostce.

Upłynęło tak pół godziny i nikt się nie pojawił, z zagajnika podjechał konno pomocnik Czubenki:

— Zadanie wykonane, grupa poszła nad rzekę, organizu-

jemy przeprawę. — I pomocnik pojechał z powrotem do zagajnika.

Czubenko ustawił swój oddział frontem do wsi. Z daleka wydawało się, że liczy sobie ten oddział ponad setkę, ranek był cichy, ulica wiejska pusta, aż nagle ożyła i wypełniła się mnóstwem ludzi, którzy napływali jak woda.

Powiewały czerwone chorągwie, szły same kobiety i dziewczęta, mężczyzn było bardzo niewiele, na czele niesiono na dwóch drągach olbrzymi czerwony sztandar. Procesja wyszła ze wsi i rozplynęła się na dwie strony, baby szły teraz szeroką, gęstą ławą. Czubenko przyjrzał się przez lornetkę i przeszedł na skrzydło. Za procesją ze wsi wyszła grupa partyzantów, z pięćdziesięciu ludzi, którzy starali się trzymać krok i popisać się przed regularną jednostką.

Czubenko jeszcze raz uważnie spojrział przez lornetkę, procesja się przybliżała, jaśniały czerwone flagi. Twarze żołnierzy Czubenko były skupione i baczne, chyba nie przypadło żołnierzom do gustu to uroczyste powitanie, sięgali do swoich ładownic i otwierali je.

Procesja przybliżyła się jeszcze bardziej, Czubenko zakomenderował, żołnierze rozstąpili się i padli.

— Ognia! — zwyczajnym głosem podał Czubenko.

Karabiny zaczęły metodycznie terkotać rozbijając procesję kulami, strzelcy raz po raz szczękali zamkami i wyrzucali próżne łuski, czerwone sztandary upadły na ziemię, baby wyrwały pochowane szable i poszły w pojedynkę do ataku przeskakując przez trupy i rannych.

„Sami robiliśmy taką sztuczkę” — powiedział sobie w duchu Czubenko strzelając z karabinu jak szeregowiec.

— Chwała! Chwała! Poddawajcie się, komuniści!

Procesja przekształciła się nagle w jednostkę wojskową idącą do ataku z taką wściekłością i zaciętością, że mogłaby zdemoralizować każdego przeciwnika, doniecczanie nie cofnęli się jednak nawet o krok i nie umilkły kaemy.

Poprzebierani przeciwnicy zaczęli się chwiać, nadaremnie na czele wymachiwała szablą baba, w której Czubenko poznał wczorajszego milczącego.

— Bij komunę! Bij komunę!

Doniecczanom była to nie pierwszyna, wytrzymali ów pierwszy moment psychicznego ataku, kiedy broniący się załamują się zwykle, zdezorientowani impetem natarcia, i strzelali do przebierańców tak spokojnie, jakby siedzieli za

stalowym pancerzem. Idąca na nich ława zatrzymała się pokrywając ziemię trupami i rozbiegła się w panicznym strachu.

Czubenko wstrzymał ogień oszczędzając naboje i pozwalając kaemom ostygnąć, gdyż pojawiło się właśnie nowe niebezpieczeństwo: spoza stojących na skraju wsi chat wypadł oddział jazdy i rozwinął się do ataku. Stał tam, żeby wybić do nogi czubenkowczyków, gdy ci rzucą się do ucieczki, zaatakowani przez poprzebieranych piechociarzy, jazda wypadła z impetem, żeby dać upust swej wściekłości. Ludzie Czubenki leżeli w dość znacznych odstępach z nastawionymi bagnętami, nie przestraszyli się galopu koni i świstu szabel. Pod żółto-niebieskim petlurowskim proporcem Czubenko poznał tamtego z dziecięcą twarzą, który z nim rozmawiał.

Jazda przegalopowała przez doniecczan, nie udało się jednak poderwać ich z ziemi pod ciosy szabel, doniecczanie strzelali teraz do petlurowców i jeźdźcy spadali z koni. Jednocześnie petlurowska piechota szykowała się do ataku i gromadziła się przy dowódcach. Czubencie przyniesiono z zagajnika amunicję.

Wtem spoza wiejskich płotów sypnęły się na petlurowców strzały — rzadkie, lecz celne, po każdym wystrzale ktoś padał, petlurowcy popędzili z powrotem, zaczęli wybijać strzelców z zasadzki. Strzały rozlegały się coraz rzadziej, spoza płotów wybiegło trzynastu ludzi i rozsypawszy się w rzadką tyralierę zmierzało do czubenkowczyków. Biegli jak doświadczeni żołnierze frontowi, zgięci w pół, klucząc i ostrzeliwując się lub czołgając — byli to zawodowi wojskowi i cofając się nie stracili ani jednego człowieka. Czubenko, który obserwował ich przez lornetę, kazał strzelać, żeby dopomóc uciekającym.

Dobiegli wreszcie do doniecczan. Czubenko poznał wśród nich owego żołnierza gruźlika, w oczach jego płonął fanatyczny ogień, biegł do Czubenki zasłaniając sobie usta i upadł na ziemię. Z ust obficie chlusnęła mu krew, zrobił się żółty jak wosk i przeźroczysty, ciężko oddychał i rzeził.

— Trzymajcie się — wykrztusił z trudem — posłałem jeszcze nocą po posiłki, ale to że dwadzieścia wiorst drogi. Prócz naszych partyzantów może być regularna czerwona jednostka, jest tam gościniec. Trzymajcie się, towarzyszu Czubenko.

A Czubenkę dusiła litość i złość:

— Po śmierć tu przyszedłeś czy jak, sami tu głowy złożymy, tyś już swoje odwojował, człowieku.

Żołnierz zwrócił śmiertelnie bladą twarz do Czubenki:

— Nie waż się obrażać mnie, Czubenko, pracuję tu w podziemiu, taka śmierć mi się śniła nocami.

— Nie gadaj, oddychaj — powiedział Czubenko — przeprawię przez rzekę rannych i dobytek pułku, a wieczorem wyruszę za nimi, nie trzeba mi posiłków.

Żołnierz już go nie słyszał. W agonii zerwał się na nogi i wyprostował w ostatniej chwili swego życia, jakby odbierał defiladę swoich następców.

— Taka śmierć śniła mi się co nocy — powiedział bezgłośnie i upadł trafiony kulą.

Czúbenko kazał go przykryć sztandarem, odczuł nagle nieprzewyciężone zmęczenie. Znowu huczała nad nim hala martenowska i słońce przedzierzgnęło się w kilka olśniewających zasypowych okien marteniaka i ziemia zaczęła się kołysać jak huśtawka umocowana na niebie.

— Ognia! — zakomenderował Czubenko zataczając się — do ataku, Republiko Doniecka!

Przez wieś pędził przybyły na pomoc oddział, siejąc panikę wśród szeregów nieprzyjaciela. Czubenkowczycy poszli do ataku i połączyli się z przybyłymi. Czubenko nadaremnie usiłował utrzymać się na nogach i za każdym razem padał, niebawem podjechał do niego Iwan Połowec.

Czubenko chwiał się na nogach jak źdźbło na wietrze:

— Dziękuję ci, bracie, kładź mnie gdziekolwiek.

Tak oto przyszedł kres bohaterskim zmaganiom dowódcy pułku, Czubenki.

DROGA ARMII

[...] Zwycięstwo nad Wranglem to czyn o olbrzymim znaczeniu nie tylko z politycznego, lecz również wojskowego punktu widzenia [...]

Entuzjazm jednostek Armii Czerwonej okazał się silniejszy niż Perekopskie i Czangarskie umocnienia białych. Entuzjazm ten na zapleczu i frontach budziła ofiarna praca partii i przodujących robotników wcielonych do jednostek. Partia zorganizowała to zwycięstwo."

Lenin

Gdzieś koło Apostołowa po słynnej bitwie z jazdą generała Babijewa Czubenko jechał na czerwonej jak zachodzące słońce taczance swego nowego i najlepszego kaemisty, kowala

Maksyma. Pułk Doniecki, który w składzie całej armii uczestniczył w kilkugodzinnej zwycięskiej batalii z białą gwardią, ścigał ruchliwego nieprzyjaciela, zdążającego nad Dniepr. Czubenko, wychudły i osłabiony po tyfusie, oraz wąsaty Maksym siedzieli na tarczance dumni i pewni siebie, za nimi zachodziło słońce, Czubenko trzymał w ręku wykutą z żelaza różę i patrzył na nią taksującym okiem średniowiecznego mistrza.

Był to cud doskonałości, natchnienia i cierpliwości, misterne dzieło niezwykłego młotka, radość metalu, który rozkwitł i kwitł wniknąwszy w tajemnicę rozwoju kruchych żywych komórek.

— Powiem ci, dowódco, każdy płatek młotkiem wykulem, a cała róża jest z jednego kawałka, nic tu nie ma spawanego i przylutowanego, jakby wyrosła z żelaznego ziarna i z metalowego zrazu. A z rodu kowali jestem i rusznikarzy, dla całej armii karabiny majstrowałem, a świat przeszedłem wzdłuż i wszerz jak żuraw.

Czubenko obejrzał się na pułk, który dudnił za nim, marszerując zwartymi szeregami, było to po bitwie pod Szołochowem, pułk znowu był u szczytu swojej donieckiej sławy, na tarczance stał kaem, udoskonalony i przystrzelany, posłuszny, zwrotny, wypróbowany i niezawodny maksym.

— Nie wyobrażasz sobie, dowódco, jaka to delikatna robota — wykuć różę, żeby była lekka i aksamitna, żeby nocą padała na nią rosa, na moją czarną wieczną różę. Lubię ładną, koronkową robotę, chciałbym być mistrzem, jakiego nie masz na świecie, i żeby życie dokoła było piękne i pogodne. Jedziemy teraz na czerwonej tarczance, a przedtem miałem inną, były na niej czerwone jabłka, zielone kwiaty, słoneczniki — to tu, to tam...

Przed kowalem cały świat stoi otworem, a jeżeli przedtem pobił w dodatku sierżanta policji i poranił żandarma, jeżeli śpiewał „Naprzód do boju, ludu roboczy” i nosił czerwony sztandar, to z góry wiadomo, że jego udziałem będzie wędrownie życie. Wyruszyłem też w szeroki świat.

Wykuć różę nie każdy potrafi, w każdej wolnej chwili zabierałem się do tej roboty. Kiedy siedziałem w więzieniu przed dożywotnim zesłaniem, wciąż pytałem, czy starczy na nie mego życia. Upływały dni i noce, było tych dni bez liku i zrozumiałem, że wszystkie moje lata to jakby jeden dzień,

całe swoje życie wspomniałem w jednym dniu i jeszcze wiele go zostało na więzienną nudę.

Aż zetknąłem się z pewnym młodym skazańcem, który za-
bił przystawa i miał zginąć na szubienicy. „Kowalu, kowalu —
powiedział cały rozdygotany pod brzemieniem swoich ostat-
nich myśli — nie uda się nam, kowalu, wykuć róży. Rośnie
róża ciepłym rankiem, pije rosę, a my padamy jej pod nogi
skrwawieni, kowalu, kowalu, gdybyś umiał wykuć różę, bo
rośnie pomału nasza róża rewolucji”.

Powieszono go o szarym świecie, całe więzienie okropnie
krzyczało, waliliśmy stołkami w drzwi, darliśmy na sobie
odzież i rozbijaliśmy okna. Młody marzyciel rozstał się z ży-
ciem odprowadzany gwałtownym, głośnym zrywem naszych
protestów, chciałbym wiedzieć, jaką ja usłyszę muzykę na
ostatniej mecie.

Zapamiętałem tę różę i zacząłem kuć. Kiedy brałem do rę-
ki młotek, zdawało mi się, że wszyscy kowale na świecie
biorą młotki i biją nimi, biją, pomagają mi. Jakby jakaś
igła tkwiła w moim mózgu, czułem ją w dzień i w nocy, tę
moją różę. Kiedy opanowała człowieka jedna myśl, nic go
nie zmoże, ani głód, ani zimno, ani śmierć, ani upał. I pew-
nie tylko dlatego utrzymałem się przy życiu i tak wiele po
świecie wędrowałem, żem kuł żelazną różę.

Dokończyłem tego kucia na pustyni. Obudziłem się nocą na
zimnym piasku, obudziłem się zachwycony i drżący z nie-
cierpliwości, śniło mi się, że skończyłem kuć różę. Jeszcze
widziałem jej ciemną czerwień, jeszcze czułem w ręku jej
ciężar, a na twarzy — jej ciepło. Wciąż jeszcze drżałem i rze-
czywistość wypełniała mój mózg, wszystko już odeszło, migo-
tały tylko nade mną gwiazdy na obcym południowym niebie.
Oto przed nami, dowódco, ledwie majaczy na wschodzie, na
ciemnoblękitnych wysokościach czerwona gwiazda Aldebaran,
będzie się podnosiła coraz wyżej i wyżej, wkrótce cały gwia-
zdozbiór, osiem widocznych gwiazd, pojawi się na pociem-
niałym niebie, znacząc się ostrym kątem niczym klucz żura-
wi zdążających ku wieczności.

A wtedy płonął nade mną Krzyż Południa, leżałem na pu-
styni Atakamskiej, na drodze wiodącej do granicy Peru.
W mieście Arice nad oceanem skończyłem kuć swoją różę.
W kuźni tamtejszego kowala, gdzie słychać było plusk fal
i nie opodal rozkwitły na jakichś krzakach przedziwnie pa-
chnące różowe kwiaty. Był rok 1917.

Przeszedłem ze swoją różą długą jeszcze drogę, aż znalazłem się wreszcie tam, pod Szołochowem, na odcinku twego pułku Donieckiego. Przewędrowałem republikę Peru, Ekwador i Kolumbię, znalazłem się w Europie, zakosztowałem francuskiego obozu jenieckiego, włoskiego więzienia, greckiej i tureckiej gościnności, nie lepszej od obozu i więzienia, i trafiłem w końcu do Sewastopola, a stamtąd do siebie, do Hulajpola. Przyszedłem w porę, jeszcze dopomogłem przepędzić generała Denikina.

Po obu stronach drogi wznosiły się wysoko łuny pożarów, na wschodzie, za Dnieprem słychać było daleką strzelaninę, pułk Doniecki posuwał się wciąż na wschód, w stronę Kachowki. Na różę, którą Czubenko trzymał w rękę, padały odblaski pożarów. Czerwonawy tuman spowił jesienny step. Noc była chłodna.

— Spotkałem się wtedy, dowódco, z moim druhem Artemem. Był przed dwoma laty naczelnikiem republiki Krzyworosko-Donieckiej, państwa górników, klasy robotniczej. Znam go jeszcze z Brisbane w Australii, przyjechał tam z Szanghaju niemal równocześnie ze mną. W sobotę pracowano tylko do pierwszej, potem praliśmy bieliznę i Artem nucił swoją ulubioną piosenkę „Jest wśród gór Altajskich wzniesienie i mogiła na nim zapomniana”. Siedzieliśmy potem przy ognisku koło namiotu, jadło leżało na skrzynce, do której przybite były nóżki, a nóżki wstawione były do puszek po konserwach — nalewaliśmy do nich wody, bo jest w Australii niezliczona moc mrówek.

Rozmowom nie było końca przy tym ognisku. Czasem po całym tygodniu pracy szliśmy kąpać się i łowić ryby, rzeka była niewielka, wyławialiśmy żółwie i niekiedy ślize, woda jakoś świeciła się nocami. Płonął nad nami Krzyż Południa, Artem opowiadał, ja słuchałem.

Polubiłem Artema, mego nauczyciela. Jak słońce obraca się wciąż do słońca, tak ja zapatrzony byłem w Artema. Spotkaliśmy się w Donbasie w zeszłym roku, poznałem go od razu i on mnie: „Pamiętasz, jak ciągnęliśmy linę i zwyciężyliśmy Irlandczyków?” — a przed nami było świeże pole bitwy, na śniegu walczone i trupy jeszcze parowały na mrozie. „Nastał czas — rzekł Artem — do ostatniego tchu będziemy walczyć o naszą rewolucję”.

Czubenko spojrzał na zegarek i zarządził popas. Przegalo-

pował po drodze jakiś oddział jazdy. Doniecczanie karmili konie. Ognisk nie rozpalono. Mróz przejmował do szpiku kości, ziemia była przemarznięta, zwłaszcza że nie pokryta śniegiem. Żołnierze podskakiwali i tańczyli przy wozach dla rozgrzewki. Wśród ciszy wybuchały dokoła coraz nowe pożary. W ich świetle, żywym i migotliwym, łańcuch wozów pułkowych to się ukazywał, to wsiąkał w mroźny mrok.

Czubenko zaczął obchodzić pułk, upływały późne godziny nocy, po prawej stronie jakiś duży pożar oświetlał równą, bezkresną przestrzeń nagiego stepu. Kowal ze swoimi dwoma pomocnikami napoili konie przy stepowej studni, sypnęli im owsa, czarnobrody Serbin i drugi pomocnik kowala, piegowaty gołowąs Laszek, spierali się o coś.

— W drogę — zawołał niestrudzony Czubenko — w drogę, Republiko Doniecka!

— Na polecenie Artema — podjął wątek swojej opowieści kowal, kiedy taczanka ruszyła — wróciłem do Hulajpola. Miałem popracować przy Machnie i poszukać ludzi. Siedzę raz na ganku i przechodzi Machno wymachując swoją nahajką, wita się ze mną. „Uważaj, Maksymie — powiada — wiem, co w tobie siedzi”.

W Hulajpolu była przy nim jego „rodzona czarna sotnia” z Kyriuszą. Machno zwołał na placu wielki wiec, przemawiał. I nagle wszczęliśmy z nim dyskusję czując, że gromada jest za nami. Był to wspaniały wiecowy pojedynek i wszyscy widzieli, że „bat’ko” przegra. Machno umilkł i zaczął słuchać o rabunkach, kontrybucjach, beczkach ze złotem, torturach, rozstrzałach i zabójstwach.

Kiedy nasz towarzysz skończył to oskarżycielskie przemówienie, Machno uśmiechnął się jakoś złowieszczo. Zszedł potem z podwyższenia, które zostało specjalnie wzniesione, przeszedł przez tłum, a wszyscy od razu rozstąpili się przed nim, chwycił mego towarzysza za rękę i powłókł za sobą na podwyższenie. Małego wzrostu, z babską twarzą i długimi jak u popa włosami Machno śmiesznie wyglądał, prowadząc postawnego chłopca, który z nim dyskutował. Gromada ucichła. Czekaliśmy — o czym będzie Machno dyskutować dalej.

„Bat’ko” wgramolił się na podwyższenie ciągnąc swego oponenta. Stali przed tysięcznym tłumem. Wtem Machno nic nie mówiąc wyrwał rewolwer i wystrzelił do naszego towarzysza. Tłum cofnął się od podwyższenia. Zaczęliśmy strze-

łać, ale Machny już nie było na trybunie. Spiesznie wydostaliśmy się z tłumu, który nagle stał się nam wrogi.

Bieглиśmy przez Hulajpole ostrzeliwując się. Atakowani ze wszystkich stron wpadliśmy do domku towarzysza Laszki, czym prędzej osłoniliśmy jakoś okna, wyprawiliśmy starą matkę Laszki do sąsiadów, zamknęliśmy drzwi i podparli, czym się dało, położyliśmy broń i amunicję, żeby była pod ręką.

— Chodźcie — zawołał ktoś z naszych — szafa gra!

Było nas jedenastu. Nie lubię się przechwalać, ale grała nasza szafa bez zarzutu. Walka trwała do nocy, strzelać umieliśmy, a wycofać się nie było gdzie. Rzucaliśmy granaty i na nas je rzucano, strzelaliśmy z kaemu, który mieliśmy, i do nas strzelano z kaemów, robiono wszystko, żeby podpalić naszą chatę, ale zapaliła się sąsiednia chata, wiatr był wiosenny, porywisty, donosił czasem do nas zapachy oziminy, rzenie koni i kukanie kukułki.

Sąsiednia chata płonąła, wysokie płomienie strzelały do nieba, pożar gaszono, iskry poleciały na szopę i stodołę, zapaliła się jeszcze jedna zagroda, nie dawano nam chwili wytchnienia, bali się wszyscy, że skorzystamy z zamieszania i uciekniemy. Niewielu już nas było przy życiu. Z jedenastu strzelało pięciu, też zbroczonych krwią z własnych i cudzych ran, zmordowanych, oślepionych, ogłuszonych wybuchami.

Wiedzieliśmy, że lada chwila umrzemy, ale stały nam przed oczyma tysiące ludzi, którzy nas zastąpią i doprowadzą do końca naszą sprawę, naszą walkę i uczczą naszą pamięć. Lekka była śmierć, śmiertelny strach nie rozrywał nam serc, nie ciążyła nam myśl o zmarnowanym życiu, przeżyliśmy je godnie i umieraliśmy mężnie, ukazywali się nam wszyscy, co zginęli za rewolucję, nie wiedzieliśmy tylko, czy jesteśmy godni, by stanąć bodaj w pobliżu tych ludzi o sławnych nazwiskach.

Wiatr zwrócił się w stronę naszej chaty, która stanęła w ogniu. Machnowczycy przestali strzelać i czekali, aż wybiegniemy na podwórze, my zaś nie strzelaliśmy również, w izbie było pełno dymu, ziało dokoła ogniem, zawalił się pułap. Zaczęliśmy wtedy śpiewać stojąc wciąż w izbie i śpiewaliśmy aż do utraty świadomości. Nie umawialiśmy się, że będziemy śpiewać, ktoś z nas zaczął i zrozumieliśmy, że ta pieśń to ostatni dar, jaki składa nam życie.

Laszek i Serbin, którzy słuchali całego opowiadania, obejrżeli się na kowala.

— Śpiewaliśmy „Wyklęty, powstań, ludu ziemi” — rzekł Serbin.

Czubenko siedział z żelazną różą w ręku, wysoko nad nimi migotał Aldebaran i cały gwiazdozbiór — klucz żurawi zdążających ku wieczności. Po chwili wyciągnął z kieszeni małą książeczkę, otworzył, przerzucił i przy świetle płonących dokoła pożarów, wyraźnie wymawiając każde słowo z osobna, przeczytał, co sobie własną ręką zapisał: „Rewolucja to wojna. Jedyna legalna, słuszna, sprawiedliwa i rzeczywiście wielka wojna wśród wszystkich wojen, o jakich pisze historia”.

— Wielkie to słowa — rzekł Czubenko — słowa towarzysza Lenina. — Wciąż kartkował książeczkę i znowu przeczytał: „Nigdzie na świecie i ani razu proletariat nie wypuścił z rąk broni, kiedy zaczynała się poważna walka, jeszcze ani razu nie ustąpił przed przeklętym dziedzictwem ucisku i wyzysku nie zmierzywszy się z wrogiem”.

— Mówią starzy hutnicy — ciągnął Czubenko — że wytopić stal — to jak przeżyć życie i ciężko, i strach bierze, i pod koniec najtrudniej. My zaś nie stal wytapiamy, lecz gotujemy rewolucję, jak bardzo trzeba więc rozgrzać piec i jakimi musimy być mistrzami, żeby odlać z naszego wytopu piękną formę — powstanie wtedy stalowe mocarstwo, proletariacka twierdza. A my, zwykli żołnierze, musimy kochać przyszłość i poświęcać dla niej życie.

— Nas trzech wyratowano z płomieni — powiedział kowal — mnie, Laszkę i Serbina. Pomalowaliśmy wtedy taczankę na czerwono. Żeby nas machnowczycy poznawali.

— Poznają nas nawet na tamtym świecie — powiedział chmurząc się Serbin — porządnie tym psom dopiekleśmy.

Czerwona taczanka jechała wraz z pułkiem Donieckim w stronę Dniepru. Pułk wykonywał rozkaz armii. Zaleciało z daleka wilgocią, cel był już blisko. Koło czwartej z rana zatrzymano się na wysokim brzegu. Wiał zimny wiatr. Na równinie za Dnieprem leżała Kachowka. Dołem, nad wodą szły oddziały Szóstej Armii, saperzy budowali most.

— Dziękuję za towarzystwo, bądźcie zdrowi. — Czubenko dosiadł konia i rozkazawszy, żeby wszyscy się zatrzymali, odjechał na pewną odległość i przyłożył do oczu lornetę.

Była tam, za Dnieprem, Kachowka. Świtał październikowy

dzień, chmurny i mglisty. Bezkresna, mleczna równina rozciągała się aż do widnokregu, który rozjaśnił się nieco na wschodzie.

Był to słynny kachowski przyczółek Armii Czerwonej, teren zaciekłych walk sierpniowych z korpusem generała Słuszczowa i kawalerią generała Barabowicza. Niezwyciężona releta na stępie Taurydzkim, nad szeroko rozlanym Dnieprem, zasieki z drutów kolczastych, okopy, punkty oparcia — broń przyczółka legendarna dywizja syberyjska. Ataki kawalerii generała Barabowicza rozbiły się o zasieki i męstwo obrońców przyczółka, ataki korpusu generała Słuszczowa oraz korpusu Witkowskiego nie zdołały zgnieść tego kachowskiego orzecha.

W oczach Czubenki przyczółek ożył. W szarej mgle świtu zaczął się bój. W szarym brzasku na dalekiej równinie pełzło kilka żółwi i każdy strzelał z dział i karabinów. „Czołgi” — pomyślał Czubenko. Za żółwiami sunęła ława piechoty i samochody pancerne, ziemia odpowiadała pohukiwaniem na wybuchy ciężkich pocisków, tysiące karabinów jakby pikoowało olbrzymie arkusze stalowej blachy.

Pojedyncze wystrzały i nawet salwy z żołnierskich karabinów zatracaly się w tym piekle. Czubenko pomyślał o tych, co siedzieli w okopach pod tą lawiną ognia, przeciwstawiając się rozwścieczeniu białej gwardii i czołgom wyposażającego Wrangla światowego kapitalizmu.

W okopach siedzieli górnicy z Kiziła, uralscy robotnicy i partyzanci syberyjscy, pogromcy Kołczaka.

— Nie widzieli jeszcze czołgów, nie wytrzymają takiego ataku — powiedział na głos Czubenko — chcę tam być i umrzeć z nimi.

Tymczasem rozjaśniło się już trochę, biali znowu zaatakowali przyczółek, Czubenko widział, jak pod osłoną czołgów i samochodów pancernych ściągnięto odwody, jak na ich spotkanie biegły z okopów małe ludzkie figurki, biegły prosto na czołgi, padały i znowu biegły.

— Tacy się nie przestraszają — szepnął Czubenko, w sercu jego wezbrała wielka duma z tych tak bardzo mu drogich żołnierzy.

Rozwidniło się tymczasem na dobre i na niebie ukazały się samoloty. Czubenko naliczył ich siedemnaście. Leciwały z południa i w szyku bojowym zaczęły bombardować przyczółek. Aż strach było patrzeć, jak od wybuchów ich bomb strzelały

fontanny ziemi, Czubenko trząsł się cały ze złości, nie sposób było patrzeć, jak giną przyjaciele, wyrwał rewolwer i wystrzelił, nie zdając sobie nawet sprawy, co robi.

— Za mną! — krzyknął — za mną! — jakby jego oddział mógł na skrzydłach przelecieć od razu dzielącą go od przeciwnika odległość.

Pułk Doniecki zatrzymał się na przeprawie. Żołnierze przynieśli Czubence kożuszek:

— Słaby jesteś po tyfusie.

Na Dnieprze toczyły się ciężkie, szare fale, most pontonowy podnosił się i opadał pod nogami. Jednostki wojskowe przeprowaiały się na przyczółek, przyszła wreszcie kolej Czubenki. Późnym jesiennym rankiem zgodnie z rozkazem przeprowaiał się z pułkiem na drugi brzeg, walka na przyczółku to ucichała, to znowu wybuchała jak srożący się wulkan, ale toczyła się gdzieś daleko.

Nie udało się Czubence wziąć udziału w bitwie: przyczółek odparł wszystkie ataki, zdobył dwadzieścia czołgów i samochodów pancernych, całkowicie rozgromił korpus białych. Było to świetne zwycięstwo. Na polu bitwy pozostały czołgi. Stały martwe przy ciałach swoich panów. Ciała oficerów — w czarnych bluzach, na rękawach znaki, białe czaszki i piszczele, wyszyte napisy: „Nie boję się nikogo, jednego tylko Boga” — przeczytał Czubenko.

Czołg „Feldmarszałek Suworow” leżał na boku zbryzgany krwią, gdzieś z jego wnętrza sączył się lekki dym, „Ataman Jermak” i „Za świętą Ruś” płonęły, „Feldmarszałek Kutuzow” i „Generał Skobielew” stały obok siebie, wokół nich gęsto leżały trupy czerwonych żołnierzy, którzy poszli odważnie do boju z przeważającymi siłami nieprzyjacielskimi i zwyciężyli.

Na świeżej ozimynie, z dala od okopów siedział biały oficer. Miał oderwane obie nogi do kolan. Zdażono mu jeszcze założyć opatrunek, ale podczas panicznej ucieczki zrzuciono go z wozu. Bandaże na kolanach były całe przesiąknięte krwią, oficer siedział z przymkniętymi oczami, nieprzytomny lub pijany. „Ojcem naszym jest Don szeroki, naszą matką — Rosja, wszędzie droga stoi przed nami otworem, wszędzie są nasze strony rodzinne” — doleciało do uszu Czubenki.

Spotkał jeszcze niewielki oddział jazdy, który wioził ciało swego dowódcy, by je pochować.

To już zupełnie inna śmierć. jeżeli człek tak umiera —

surowa powaga i smutek żołnierzy wzruszyły Czubenkę, choć niejednokrotnie już widział śmierć w swoim życiu. Przyłączył się do oddziału, który z obnażonymi szablami towarzyszył swemu dowódcy.

A dowódca leżał na tarczance i patrzył w niebo, jego głowa kołysała się w takt uginających się resorów, potrząsała głową i zdawał się powtarzać raz po raz: „Że też pozwoliłem się capnąć śmierci, że też pozwoliłem, towarzysze!” — jego kędzierzawe włosy rozwiewał wiatr.

Nad Perekopską równiną mkną jesienne chmury i nie kończące się klucze żurawi, chłodna jest ziemia październikowego stepu. Pięćdziesiąt tysięcy armia barona Wrangla rzuca do boju oficerskie brygady drozdowczyków, kornilowczyków i markowczyków, ściga odwozy z Kubania i znad Donu, koncentruje czołgi i bombowce, a zmierza ku niej pięć armii czerwonego Frontu Południowego. Jesień tysiąc dziewięćset dwudziestego roku huczy w stepach gardzielami ciężkich dział, tupocze setkami tysięcy kopyt końskich, ryczy silnikami czołgów i lotnictwa szturmowego, przesuwają armie dwóch epok historycznych.

— Jeżeli już mowa o Waterloo — powiedział młody generał — to nie widzę tu Napoleona.

Roześmiał się ten wczorajszy esaul kubański, rudy i ospowaty, brutalny i porywczy. „Oto nasi nowi generałowie” — pomyślał jego interlokutor, słowy generał z czupryną na jeża.

— Zbliży się jednak Waterloo — ciągnął młody — rozbijemy czerwonych i zniszczymy.

Rozmawiający siedzieli w sztabie, młody sącył koniak, stary — mleko.

— Nawiasem mówiąc — rzekł stary odstawiając szklanę — pod Waterloo nie było żadnej bitwy.

— Jak to nie było? Przecież to fakt historyczny!

— Pierwsza bitwa rozegrała się pod Ligny, gdzie Napoleon pobił na głowę pruskie wojsko Blüchera, a sam Blücher, stary wojak, uczciwy i mężny generał, jakkolwiek zupełnie bez wykształcenia, w powszechnym zamieszaniu spadł z konia i długo nie można go było znaleźć. Jego szefem sztabu był słynny Gneisenau, kolega wielkiego Scharnhorsta, jeżeli coś panu mówią te nazwiska...

Młody nie odpowiedział łyknąwszy ze złością koniaku.

— I Gneisenau, świetna głowa, wydał słuszny rozkaz i wskazał, w jakim kierunku powinno się cofać rozbite wojsko prus-

kie. A Napoleon tymczasem walczył z angielskim wojskiem pod rozkazami Wellingtona nie opodal góry św. Jana, złamał pierwszy opór i zamierzał rozgromić je całkowicie. Nadciągnęli jednak właśnie pobici już Gneisenau i Blücher i pomogli Bogini Zwycięstwa przejść od Napoleona na stronę przeciwną. A Waterloo — to nazwa wsi, w której znajdował się sztab Wellingtona w 1815 roku, osiemnastego czerwca.

Obaj umilkli na chwilę, słychać było daleką strzelaninę, rżenie koni, kwilenie wiatru.

— Działania wojenne zakończone zniszczeniem sił nieprzyjacielskich — to Kanny — odezwał się stary generał — nie uczył się pan tego, ekscelencjo?

Chwacki ospowaty esauł z generalskimi odznakami na naramiennikach poczerwieniał ze złości. Spojrzał na starego i pomyślał, że nic łatwiejszego, jak rąbnąć go niczym źdźbło trawy.

— Mówimy o operacji za Dnieprem — burknął.

— Cóż, nic pan na tym nie straci dowiadując się o Kannach — ciągnął powoli stary — pisał o tych Kannach znany hrabia Schlieffen. W dwieście szesnastym roku przed naszą erą genialny wódz kartagiński Hannibal z pięćdziesięcioletnim wojskiem zniszczył pod Kannami siedemdziesięcioletnią armię rzymską konsula Terentiusza Warrona. Niezwyciężona jazda kartagińska z Hazdrubalem na czele pobiła jazdę na prawym skrzydle wojska rzymskiego, pomknęła przez tyły całego wojska rzymskiego i rozbiła jazdę na lewym skrzydle Rzymian. Dzięki świetnemu manewrowi Hannibala Rzymianie zmuszeni byli bronić się jednocześnie z czterech stron i wojsko kartagińskie wybiło ich niemal do nogi. Tak to było pod Kannami.

— Tak samo będzie pod Kachowką — rzekł młody — Rzymianie mieli Kanny, czerwoni będą mieli Kachowkę.

Generał z siwą, ostrzyżoną na jeża czupryną pokiwał głową.

— Ta śmiała operacja za Dnieprem może się udać, ale generał Babijew powinien się dobrze wystrzegać różnych niespodzianek — powiedział przez zęby.

Ospowaty esauł wzruszył ramionami i jego naramienniki stanęły niemal sztorcem, wiedział, że w zasięgu głosu stoi jego brygada zabijaków, którą w rozstrzygającej chwili poprowadzi w pościg za rozbitymi czerwonymi.

— Nie sądzi pan może, ekscelencjo — powiedział — że nasz

trzeci korpus i jazda generała Babijewa po to przeprawiły się za Dniepr, by stamtąd wrócić?

Stary generał dopił mleko, kulejąc podszedł do drzwi, odwrócił się — denerwowała go arogancja tego gbura.

— Dobrze będzie, jeżeli wróci — mruknął.

— Przecież frontem dowodzi Frunze — dodał po chwili ostro — i nie chciałbym — urwał na chwilę i spojrzał w okno — nie chciałbym usłyszeć złych wieści...

Do pokoju wbiegł jednak oficer, który sądząc z wyglądu nie przynosił pomyślnej wieści.

— Koniec! — krzyknął — operacja za Dnieprem przegrana! Pod Kachowką zniszczono wszystkie czołgi! Kanalie!

Zwalił się na stół, na jego ustach pojawiła się piana. Ospowaty esauł w stopniu generała wypadł od razu na podwórze, skąd doleciały niebawem jego straszne przekleństwa i rzucone bez związku rozkazy.

Równina Perekopska zaczyna się za Dnieprem, nagi, czarny bezkres — bez rzeki, bez drzew, pojedyncze wsie i chutory rozsiane są tu z rzadka i niczym małe wysepki na morzu otaczają je dokoła olbrzymie włości Falc-Fejna. Nietrwale jest jesienne słońce, rzadko wygląda spoza chmur, porozrzucanych po niebie jak motelki. Mroźny jest koniec października, chrząści sucha, zmarznięta trawa. Daleko są wiosny dzieciństwa, w słonawej mgle, na różowych brzegach.

Syn pastucha Danyło jedzie na koniu po ziemi swego dzieciństwa. Został już pastuchem, prawdziwym pastuchem, ten prawnuk Danyła i syn Ryhora. Jesień, gorzkawe, jesienne powietrze stepu. Ani skowronka na niebie, ani bociana na trawie, zasnęły w ziemi jaszczurki, zamarzyły na śmierć świerszcze, trawa jest cała sucha, słońce nie grzeje, tylko wysoko pod chmurami lecają na południe ostatnie ptaki — jesień.

Staje przed Danyłem pradziad, co zmarł na tej równinie, wylaniają się wspomnienia dzieciństwa: „Depczę, depczę pierwiosnki” — szepcze. Danyło pamięta, że pradziadek był dobry i stary, jego starczy głos rozbrzmiewał Danyłowi w uszach we wszystkich ciężkich chwilach wczesnej młodości. I skąd się brała wtedy siła i odwaga, jak rodziła się pieśń, odzew woli ich rodu, rodu ludzi pracy?

Danyło rozglądał się dokoła, po ubogim stepie, jakby po raz pierwszy dostrzegł swoje dzieciństwo. Pomyślał, jak będzie

o tym pisać. Ma takie mnóstwo myśli, którymi chce się podzielić z ludźmi. Przez jego usta przemówi ród buntowników!

Napisze historię swego rodu, który szedł długą drogą, przez stulecie i doszedł do rewolucji. Niech pradziadek spoczywa spokojnie w ziemi — prawnuk zapamiętał jego słowa i niedolę ojcowską, zapamiętał i napisze. Będzie to duża książka i nikt w niej nie będzie płakać, jak nie płakał Danyło, jego ojciec, dziadek i pradziadek jedząc gorzki chleb, uprawiając ziemię dla pana i bogaczy, walcząc gołymi rękoma i nie wiedząc, jak się połączyć z innymi biedakami.

Będzie to książka o życiu ich czterech, z których on będzie tym czwartym, życie każdego z nich zacznie się w książce od ich jednakowego dzieciństwa. Jednakowe skowronki będą śpiewały nad nimi czterema, jednakowa trawa będzie szeleścić pod ich nogami.

Młody komisarz jechał przez step swego dzieciństwa, wracał do pułku towarzysza Szweda, rozłokowanego pod gołym niebem, tutaj, na stepie, na skrzydle armii.

Młody komisarz wystarał się w sztabie o przydział odzieży i butów, po które trzeba będzie teraz posłać, opowiadał, jak z zimna kostnieją żołnierze przez cały dzień i noc na zamrzniętym stepie. Ani paliwa, ani żadnej osłony, nogi owinięte szmatami, lodowaty wiatr. Szwed upatrzył sobie nieduży, walący się chutor i posyłał tam swój odwód na odpoczynek. Koni miał Szwed mało, uważał się jednak za dowódcę jednostki czy nawet pułku kawalerii i krzyczał: — Przeniosę do piechoty! — co było najstraszniejszą pogroźką.

W sztabie Danyło przekonał się już nie po raz pierwszy, że oddział nie jest uważany za regularny i nie kieruje się go na ważne odcinki frontu, za to Szwed jest szczerze lubiany. Czytano w sztabie jego meldunki, w których z dumą donosił, że jego pułk liczący sto dwadzieścia szabel gotów jest pójść wszędzie, gdzie trzeba. Szef sztabu, stary pułkowiec, tylko się uśmiechał. — Partyzantka — mówił pobłaźliwie i dobrodusznie zarazem.

Posyłano do Szweda pisma, w których zapytywano, co zrobił z wziętymi do niewoli ludźmi z wojsk Wrangla, odpowiedział jednak, że „w walce o ideał jeńców nie brał, nie bierze i brać nie będzie”. Jako komisarza tolerował przy sobie jednego Danyła, który w codziennych utarczkach łamał oporny charakter dowódcy.

A na jakie fantastyczne pomysły wpadał Szwed! Pewnego

razu wymyślił ni mniej, ni więcej tylko desant morski. Zamierzał, nie uprzedzając jak zwykle nikogo, wpakować swój pułk na barki rybackie i szalupy, przepłynąć morze i wysiąść nocą pod Sewastopolem. Tu podejść niepostrzeżenie, zaskoczyć i wyrznąć sztaby, ująć samego Wrangla, jeżeli się uda, ukryć się następnie w górach Krymskich i walczyć tam, póki nie nadejdą swoi. — Sam Lenin dowie się o tym — mówił Szwed w zadumie.

Innym razem jego plan zniszczenia Wrangla omal nie skończył się dla niego tragicznie. Pod nieobecność komisarza (— Dałem ci podrobione wezwanie do sztabu — tłumaczył mu potem Szwed — żał mi cię było, nie chciałem cię brać z sobą) Szwed poprzebierał swoich ludzi w mundury oficerskiego pułku Wrangla i ruszył na front. Trafnie wybrał miejsce i zamierzał właśnie rozpocząć swój rajd, kiedy zaatakowała go czerwona kawaleria. Czerwoni jeźdźcy byli tu świadkami takiego oto faktu: oficerowie Wrangla nie bili się wcale, tylko klnąc na czym świat stoi poddali się wszyscy jak jeden mąż.

Danyło jechał stepem i wciąż przypominała mu się usłyszana w sztabie pogłoska, że pojawił się w tych okolicach jakiś nie znany oddział. Jadąc próbował śpiewać, śpiewał jednak niedługo i nie wkładał w ten śpiew żadnych uczuć. Toczył się z wiatrem biegacz stepowy i solanka. Leżał przy drodze koń, który unosił niekiedy głowę i bezradnie rozglądał się po stepie. O jakieś pół kilometra dalej zobaczył przewróconą biedkę amunicyjną bez kół. Danyło zwrócił nagle uwagę na mocno stratowaną kopytami ziemię.

Jechał po tych śladach, raz po raz natrafiał na oznaki mówiące o szybkim i uciążliwym marszu. Już mu się odechciało śpiewania. Ślady biegły w stronę chutoru będącego bazą Szwe-da. Ukazał się wreszcie w dali ten chutor. Krążyły nad nim kruki i wrony.

Przybliżywszy się do chutoru, młody komisarz zobaczył od razu samego Szwe-da — bosi, w czerwonych spodniach do butów, wisiał na złamanym przez pocisk drzewie. Dokoła ani żywej duszy. Podwórze usiane było porzrzuconymi papierami. Trupy dwóch wartowników z porąbanymi głowami leżały koło ganku. Wiatr rozwiewał śmiecie i papiery na podwórzu. Słońce przedarło się przez chmury, żeby oświetlić ten smutny obraz. Wśród ciszy i śmieci nagle zapiał gdzieś na strychu kogut.

— Hej, jest tu ktoś? — zawołał Danyło nie słysząc własnego głosu. Zeskoczył z konia, rzucił lejce, koń sam poszedł za nim.

— Jest tu ktoś? — wołał Danyło, obchodząc obejście i zaglądnąjąc w okna.

Nikt się nie odzywał. Koło przewróconej kuchni leżały skurczone zwłoki zarąbanego kucharza — kiedy przyszła śmierć, obierał właśnie kartofle i będzie je tak wiecznie obierał. Koło wiaty leżały jedno na drugim ciała kilku czerwonoarmistów.

Skrećwiwszy za wiatę Danyło omal nie wpadł na żywego człowieka. Był to młodziutki czerwonoarmista. Siedział oparty o ścianę upstrzoną śladami kul, jego głowa się trzęsła, wargi coś mówiły bezgłośnie i bezustannie. W górze krążyły kruki i wrony.

Młody komisarz nałożył chłopcu opatrunek, dał mu się napić. Dowiedział się, że biali przyjechali z czerwonym sztandarem. Szwed uwierzył, że to poprzebierani swoi, żadnej walki nie było.

Tak zginął Szwed i partyzanci.

Danyło oplótł ramionami jakąś porąbaną szablami wiśnię, było mu tak gorzko na duszy, że wprost brakło tchu. Ożyły w pamięci wszystkie krzywdy z dzieciństwa, sceny z sierocińca, poszturkiwania, kiedy pracował u obcych. Z oczu polały się łzy. Po raz pierwszy w życiu Danyło tak płakał. Na ziemi swego dzieciństwa.

Perekopska równina, step Taurydzki — oto teren wielkiej batalii na przedpolach Krymu. Zetknąwszy się na tym równym bezkresie, dwie epoki robiły obrachunki. Wojsko rewolucyjne ze swoim wielkim wodzem przejęło inicjatywę. Dobrowa biała gwardia, doskonale umundurowana i uzbrojona, wyposażona w samochody pancerne, czołgi i samoloty musiała się uciekać do różnych sposobów, żeby wytrzymać uderzenie ześrodkowane.

Zgodnie z planem należało otoczyć i zniszczyć armię Wrangla na stepach Taurydzkich, nie przepuścić jej na Krym. Odrzuciwszy nieprzyjaciela Szósta Armia podeszła do Perekopu i przecięła Wranglowi odwrót. Legendarna Pierwsza Armia Konna przedostała się cała na głębokie zaplecze głównych sił Wrangla i odcięła mu także drugą drogę na Krym—Czongar. Druga Armia Konna oraz Czwarta i Trzynasta wykonywały poszczególne części druzgocącego uderzenia. Ratując się przed Kannami Wrangel zmierzał na Krym.

„Zakończyliśmy pierwszy etap likwidacji Wrangla. We współ-

nej akcji wszystkich armii frontu zadanie okrążenia i zniszczenia wszystkich sił nieprzyjaciela na północ i północny wschód od przesmyków krymskich zostało świetnie wykonane. Nieprzyjaciel poniósł olbrzymie straty, wzięliśmy blisko dwadzieścia tysięcy jeńców, przeszło sto dział, mnóstwo karabinów maszynowych, blisko sto parowozów i dwa tysiące wagonów, prawie wszystkie tabory oraz olbrzymie zapasy materiałowe wraz z kilkudziesięciu tysiącami pocisków i milionami naboju”.

Dowódca frontu przeglądał swój rozkaz do wojska. Miał na sobie skórzaną kurtkę i białe buty filcowe. Siedział w sztabie Czwartej Armii. Wąsy, wysokie czoło, jasne, spokojne oczy.

Był to najprawdziwszy marszałek rewolucji. Jako dowódca pięciu armii w ciągu miesiąca dzięki zręcznym manévrom i śmiałym operacjom rozbił Wrangla i przybył teraz na pierwszą linię, by podjąć ostatni szturm.

Był to dowódca, którego stworzyła rewolucja, czynił zadość wysokim wymaganiom, jakie stawia dowódcom sztaby i słuchał. Na jego pociągającej, zwyczajnej twarzy robotnika malował się wciąż ten sam wyraz spokojnej zadumy. Zdawało się, że zakuty w pancerz odpowiedzialności zatopił się głęboko w rozmyśleniach. Odpowiedzialny jest za życie każdego czerwonoarmisty, za cały front, odpowiedzialny jest przed partią i przed nowymi ludźmi na ziemi, o których marzył jeszcze na katordze.

Życie armii widział jak na dłoni, z najdrobniejszymi szczegółami, często ważniejszymi niż brak amunicji czy ludzi. Pasy było bardzo mało i całkowicie brakło paliwa i zwykłej wody do picia, mrozy były dziesięciostopniowe, a gołe zimne niebo zastępowało dach nad głową.

Dowódca przyjrzał się, jak umacniano przybrzeżne baterie i zajmowano stanowiska, jak wszystko żyło bliskim już szturmem. Środków technicznych nie było, nie zdążono ich podwieźć, takie szybkie było tempo natarcia jednostek bojowych. Żołnierze wykonywali niezbędne roboty sami, a mróz przejmował do szpiku kości, ludzie, kiepsko ubrani i bosy, nie mieli możliwości ogrzać się gdzieś trochę i zjeść coś ciepłego. I nikt się nie skarżył na nieznośne warunki pracy. Nie dziwiło to dowódcy, rozumiał bohaterstwo i poświęcenie swoich żołnierzy. Żądał od nich niemożliwości i dokonywali rzeczy niemożliwych.

Filcówka ocierała mu nogę, więc zrzucił ją z nogi i przy-

siadłszy na cynkowej skrzynce z nabojami, na nowo owinał stopę onucą. Wiał z zachodu zimny, słony wiatr.

Przedpole stanowisk perekopskich i czangarskich było równym terenem, a stanowiska bojowe zostały umocnione wszystkimi możliwymi sposobami. Inżynierowie Wrangla i francuscy inżynierowie wojskowi wykreślili i zbudowali cały system betonowych i ziemnych umocnień. Zdawało się, że nie ma żadnych szans po temu, by udał się atak czołowy na tego rodzaju stanowiska. Na terenie stanowisk perekopskich wznosił się pochodzący jeszcze z dawnych czasów Wał Turecki, pod którym wykopany był rów; wysokość wału i głębokość rowu dawała w sumie trzydzieści—czterdzieści metrów składających się na przeszkodę otoczoną drutem kolczastym, bronioną betonowymi okopami, granatami, miotaczami bomb i karabinami maszynowymi wraz z ogniem artyleryjskim floty.

Ze sztabu 51 dywizji dowódca wyruszył do Perekopu. Zapadał wieczór. W mroku i gęstej mgie w odległości kilku kroków nic nie było widać. Bez przerwy waliły działa. Reflektory po stronie nieprzyjacielskiej nie gasły ani na chwilę.

Salwom armatnim towarzyszyły rozbłyski. Pułki odwodowe 51 dywizji przygotowywały się do rozstrzygającego szturmu. Przez cały dzień utrzymywała się gęsta mgła, artyleria nie mogła strzelać, żołnierze poszli do ataku na stanowiska nieprzyjacielskie niemal bez ogniowego przygotowania.

Dowódca jechał północnym brzegiem Siwasza. Nie opadały pociski nieprzyjacielskie. Zapaliła się przy drodze sterta słomy. Pod ogniem artyleryjskim dowódca zachował całkowity spokój. Podporządkowani mu dowódcy dywizji byli świadkami, jak szedł do ataku z szeregami strzelców.

Dowódcy 52 dywizji w sztabie nie było. Ubiegłej nocy przeprowadził się z wojskiem przez Siwasz i od tej nocy na półwyspie Litewskim bez przerwy toczy się walka. Przez cały ten czas żołnierze nic nie jedli, wody nie było również. Z półwyspu jest przejście na tyły stanowisk perekopskich, których ani rusz nie mogła zdobyć 51 dywizja. Trzeba się trzymać na półwyspie i za wszelką cenę szturmować wał perekopski.

Dowódca napił się po drodze herbaty. W pobliżu reflektorów noc była szczególnie ciemna. Śmiali się wszyscy i żartowali.

Koło północy dowódca przybył do sztabu 51 dywizji. Dowódca dywizji ze swoimi pułkami był również na półwyspie Litewskim od ubiegłej nocy. Nie ustawały tam niezwykle za-

ciekłe ataki. Biali wzmoгли napór pchnawszy do kontrataku swoją najlepszą dywizję Drozdowa z samochodami pancernymi. W pół godziny po przybyciu dowódcy do sztabu dywizji doniesiono z linii łączności biegnącej przez Siwasz o podnoszącym się poziomie wody i zatopieniu brodów. Pułkom obu dywizji po tamtej stronie Siwasza groziło to odcięciem.

Dowódca dowiódł w tych okolicznościach siły charakteru i niezbędnej wodzowi energii. Carska katorga i zesłanie podkopały jego zdrowie, lecz umocniły w nim wolę zwycięstwa, odznaczał się i zdolnościami militarnymi, i w tym samym stopniu bolszewickim hartem. Wiedział, że zwycięstwo nie przyjdzie samo, że trzeba je wywalczyć.

Dowódca wydaje rozkaz do natychmiastowego wykonania: bezzwłocznie i za wszelką cenę iść do ataku czołowego na Turecki Wał. Zmobilizować mieszkańców pobliskich wsi do robót zabezpieczających przy brodach, dywizja kawalerii i grupa powstańcza na koniach mają się przeprowadzić natychmiast przez Siwasz.

Koło trzeciej w nocy przybyła dywizja kawalerii. Dowódca dokonał jej przeglądu i od razu skierował na pole bitwy. Wody w Siwaszu stopniowo przybywało, brody były trudniejsze do przebycia, ale przeprawa wciąż jeszcze była możliwa.

W godzinę później nadeszli również powstańcy. Ich dowódca i szef sztabu udali się do dowódcy frontu. Weszli lekko, jakby w obawie przed zasadzką.

Kto wie, co mieli na myśli proponując swój współdziałanie na froncie przeciwko Wranglowi. Może potrzebna im była amunicja lub wytchnienie? A może uknuł Machno jakiś czarny podstęp śląc Armii Czerwonej na pomoc swoje pułki z Karetnikowem na czele? Dowódca frontu brał to wszystko pod uwagę jeszcze w Charkowie.

Karetnikow wysłuchał cierpliwie wyjaśnień dowódcy o konieczności natychmiastowego przeprowadzenia się przez Siwasz. Zamyślił się przypatrując legendarnemu dowódcy frontu. Nie takiego człowieka spodziewał się ujrzeć. Nie ma mowy, żeby udać głupiego lub zaimponować mu krzykiem. Karetnikow milczał. Jego szef sztabu patrzył na mapę.

— Jazda nie przejdzie — rzekł.

— Jesteśmy rewolucyjnymi powstańcami Ukrainy — odezwał się Karetnikow — i będziemy razem z wami bić Wrangla. Ale jazda morza przejść nie potrafi.

— Godzinę temu — spokojnie odrzekł dowódca — przepra-

wiała się dywizja kawalerii. Mam nadzieję, że rewolucyjni powstańcy nie ustąpią im w pełnieniu swego obowiązku.

Dowódca mówił powoli, był, jak się wydawało, spokojny, nie zdradzał się przed machnowczykami ze swoją niecierpliwością. Stawiał pytania tak, jakby po prostu z życzliwości powierzał im zaszczyt przeprowadzenia się przez Siwasz i udział w bitwie. Znał partyzanckie obyczaje i nie nalegał, mimo że droga mu była każda chwila. Karetnikow zasalutował i wyszedł.

Dowódcy zameldowano, że machnowczycy mają przytroczone do sodeł mocno związane snopy słomy i sitowia. Dobrze wiedzą, jak się trzeba przeprowadzać przez Siwasz, zwlekają tylko w obawie przed jakąś zasadzką.

Karetnikow i jego szef sztabu kilka razy przychodzili do dowódcy i niby to już szli wykonać rozkaz. Przeciągała się ta ich gra, Siwasz mógł wezbrać tak, że posiłki nie będą mogły dotrzeć do półwyspu Litewskiego.

— Uważam to wasze zwleknięcie za tchórzostwo — powiedział w końcu dowódca. — Może rozejdziecie się lepiej do domu?

Ten cios zadany miłości własnej oszołomił Karetnikowa, który uśmiechnął się krzywo i cicho wyszedł. Siadł na konia i ściągnął go nahajką. Oddział popędził w stronę Siwasza.

Nadszedł wtedy meldunek ze sztabu 51 dywizji. Jej pułki dzięki poparciu z półwyspu Litewskiego nocą wzięły szturmem Wał Turecki i ścigają nieprzyjaciela. Zadanie nie zostało jeszcze całkowicie wykonane, gdyż drogę na Krym przegradzały umocnione stanowiska juszyńskie, ale upadek Perekopu pozwalał dywizjom na półwyspie Litewskim przyłączyć się do natarcia prowadzonego przez całą armię.

Dowódca podpisał rozkaz o dalszym rozwoju operacji i dopiero wtedy pozwolił sobie na odpoczynek. W stanie całkowitego wyczerpania położył się na leżance i zaczął rozcierać chore kolano. Była szósta rano dziesiątego listopada.

Łącznościowcy nadawali rozkaz podpisany przez Frunzego.

Zaciekła i krwawa bitwa pod Juszyniem trwała dwa dni. Juszyń zdobyto i jednocześnie walcząc bohatersko w ataku na bagnety, 30 dywizja zwyciężyła pod Czoharem. W niepohamowanym, gwałtownym rozpędzie armie wtargnęły na Krym.

Iwana Połowca, dowódcę oddziału międzynarodowego, dopędził jego komisarz Hert.

— Popatrz, jaka dziwaczna taczanka — powiedział Hert — przypomina mi tego asa lotnictwa, który pomalował swój sa-

molot na czerwony kolor. Ładnie to wyglądało na niebie, ale było niepraktyczne. Zresztą można chyba mówić o pewnym oddziaływaniu psychologicznym.

— Coś w rodzaju tego ataku psychicznego, z którym mieliśmy do czynienia nad Siwaszem — dodał Połowec przyglądając się czerwonej taczance, która przejeżdżała nie opodal.

— Ciasno tu jak na jarmarku — ozwał się mały Saszko Połowec rozglądając się na prawo i lewo.

Na dziwacznej taczance siedziało ich czterech — brodaczy, jeden bez wąsów, a przy karabinie chłop z długimi wąsami, wreszcie młody, szczupły czerwonoarmista.

— Wspaniały obraz — roześmiał się Hert — wjazd zwycięzców do ostatniego bastionu barona Wrangla.

Doleciały do nich z tyłu jakieś okrzyki. We wściekłym galopie mknęli jeźdźcy, dudniły taczanki, migotały pstrokaczną barw kilimy na nich. Konie ze wstążkami, gwałtowny pęd, przepych, opera.

— Jak pędzą machnowczycy — rzekł Połowec. — Nad Siwaszem zachowywali się ciszej.

— Warto by wycelować w nich karabiny — powiedział Hert. — Pędzą tak na rabunek.

Machnowczycy zauważyli czerwoną taczankę, poznali. Grupa jeźdźców oddzieliła się od oddziału i wciąż w tym samym galopie pomknęła na taczankę. Błysnęły w powietrzu szable. Taczanka zniknęła na chwilę w gmatwaninie koni i jeźdźców, którzy rozbiegli się nagle jak wilki i popędzili za swoim oddziałem.

Wszystko to rozegrało się tak błyskawicznie, że Połowec i Hert opamiętali się dopiero wtedy, kiedy z taczanki zwalili się dwaj z jadących na niej ludzi i pozostawione same sobie konie zaczęły się kręcić w kółko.

Zacząła się bezładna strzelanina, ale machnowczycy byli już daleko. Taczankę zatrzymano. Wychynął skądś Czubenko.

Na kaemie leżał z rozrąbaną głową kowal Maksym, po drugiej stronie taczanki Danyło — zdrów i cały, patrząc nieprzytomnie, ścisnął w rękę żelazną różę. Kowal rzucił się jeszcze w przedśmiertnych drgawkach jak konający ptak. Podeszli Połowec i Hert.

— Twój? — zapytał Połowec spojrzawszy Czubencie w oczy. Czubenko odwrócił się.

— Wojna się kończy — rzekł Hert.

— Będziesz wytapiać stal, Czubenko — uśmiechnął się Powłoc.

— Gwiazda Aldebaran — powiedział nie wiadomo dlaczego Czubenko — klucz żurawi lecących w wieczność!

I wyjął z rąk Danyła różę.

W pamięci Danyła utrwalił się ten obraz: słońce, jesień, zapach śmierci i końskiego potu, bezkresna dal, radość zwycięstwa, stalownik Czubenko z różą w ręku u bram Krymu.

ADAMENKO

A po drugie nie jestem mistrzem piecowym, tylko zwykłym stalownikiem, mistrzem jest Fridrich Iwanowycz i po pierwsze — to mistrz na wagę złota i głowa jakich mało, szukałem rok takiego majstra, nie rodzą się tacy mistrze na kamieniu. Jest ze starej niemieckiej szkoły, uczył się rozumu może jeszcze od Siemens'a, a wiadomo, że Martin budował swój pierwszy piec na podstawie projektów Siemens'a.

Mój Fridrich Iwanowycz to mistrz delikatny i jako człowiek też jest delikatny, widzicie, jak chodzi koło pieca, wygląda jak lekarz, mały, bielutki lekarz w okularach w żelaznej oprawie, jakby nie miał nic wspólnego z piecem, idzie sobie z jednego szpitala do drugiego, po jednej delikatnej operacji na drugą delikatną operację. Przystanął koło pieca martenowskiego, zionęło na niego żarem od okien wsadowych, półtora tysiąca stopni tego gorąca, przystanął stary lekarz przy oknach, za którymi płonie czerwienią piekło. I jakby się dziwił, że ludzie żyją w takiej spiecu, i jakby strach go bierze, że tak dudni dokoła, podjeżdżają wagoniki z nieckami wsadowymi, obraca się wsadzarka, huczy pod nogami żelazny pomost, nasaunawszy specjalne okulary na oczy, robotnik zagląda do pieca.

Fridrich Iwanowycz jakby nie chciał w ogóle patrzeć na cały ten kram, zresztą takiego mistrza stali pewnie nie widzieliście jeszcze w życiu, sam się jeszcze z nim nie oswoiłem, ja, stalownik Czubenko, jeszcze go się czasem boję — takich mistrzów trzeba na rękach nosić, jestem stalownikiem nie od wczoraj, widziałem różnych mistrzów i sam każdą stal wytopię, każdej marki i gatunku. Wytapiałem nawet chromowolframową, tę szybkołnącą i kapryśną stal, ale stojąc koło ta-

kiego Fridricha Iwanowycza zazdroszczę mu, mimo że nie licuje taki program z członkiem partii.

Właśnie o tym chcę powiedzieć, towarzysze, na naszym wiecu tu, w martenowni, kiedy ujrzełicie wytop stali pierwszy może w całej naszej republice, bo że pierwszy w Donbasie — za to ręczę. Widzieliście, jak rozlewaliśmy tę stal do wlewnic, była w miarę gorąca i rozlewaliśmy ją z łatwością, jakoś jej była taka, jakiej wymaga odbiorca, a odbiorcę mamy jednego — jest nim Rewolucja.

Przeznaczona jest na żelazne konstrukcje i mosty, zawiera dziesięć do piętnastu najwyżej setnych procentu węgla, trzy do sześciu dziesiątych procentu manganu, no, jeszcze trochę siarki i fosforu, słowem, wszystko jak trzeba. Nasz odbiorca wybuduje mosty w całej republice, bo brak nam ich teraz, a trzeba połączyć wieś i miasto, zakłady przemysłowe i ziemię, wszystkie narodowości i narody, carat bał się mostów, interwencji nasze mosty niszczyli, a my je zbudujemy i oto rozlaliśmy pierwszy wytop stali.

Fridrich Iwanowycz przygotowuje piec do drugiego wytopu, kontroluje się teraz ten piec, czy nie ma jakiegoś wybicia w trzonie, bo trzeba by je wtedy natopić, albo może przewał się opalił lub żużel utknął, trzeba piec rozgrzać, podwieźć niecki z wapniakiem, surówką i złomem stalowym, słowem, usunąć wszystkie przeszkody, żeby po kilku godzinach znowu rozlać do wlewnic czterdzieści ton doskonałej, gorącej, rewolucyjnej stali.

Tak oto powolutku, zmiana po zmianie, wytop po wytopie, kampania pieca po kampanii uruchomimy marteniaki w republice, wytapiaj, republiko, stal, stal we wszystkich gatunkach — i na pługi, i na broń, i na maszyny, i na szyny, uruchomimy wszystkie piece i wybudujemy nowe, nasz Lenin jest chory, towarzysze, trzeba nam marteniaków, trzeba elektryczności, przemysł musi produkować na całą moc.

A przy sposobności, z okazji pierwszego wytopu stali po walkach na froncie posłuchajcie coś niecoś z moich wspomnień, jak w szeregach klasy robotniczej zdobywałem to prawo, żeby wylewać stal nie do kapitalistycznej kadzi, lecz do naszej robotniczej, zapracowanej i wywalczonej. Czasu zabiorę wam niewiele, nie lubię wieczorów wspomnień, tutaj, w hali, powiemy sobie kilka dobrych słów, zwyczajnie i po prostu, a potem ściśniemy zęby i pójdziemy pracować, że aż ziemia stęknie, i tak przez rok, dwa, czy może nawet dziesięć, póki

nie wyjdziemy z mroku na światło i innych nie wyprowadzimy, a życie mamy tylko jedno i bierz je lichy, takie jest słodkie i bolesne!

Wytapiam stal od wczesnej młodości, towarzysze, wytapiam i wytapiam, byłem robotnikiem niewykwalifikowanym, byłem prażalniczym, dołowym, nagrzewnicowym, awansowałem u właścicieli-kapitalistów na stalownika, obiecali, że zrobią ze mnie mistrza. A dokoła nasz bezleśny kraj, stepowy, nic tylko stopy bez końca i kopalnie, w stawie więcej mazutu niż wody, sami znacie przyrodę naszego Donbasu, południowy step ukraiński.

Stuknęła mi wtedy trzydziestka, było to przed rewolucją, na rok przed wojną światową, dziesięć lat już przebiegło nad naszymi głowami i pułkownik Czubenko wrócił znowu do pieca — wytapiać stal. Stuknęła mi więc trzydziestka, zaczął się trzydziesty pierwszy, wytapiam stal i aż mnie teraz serce boli, że wytapiałem wtedy dla kapitalisty taką cudowną stal; kraj nasz, jako się rzekło, bezleśny, nasz rozległy zadymiony Donbas, słońce pali nie do wytrzymania, z okien wsadowych zieje na mnie żarem.

Chłop był ze mnie silny i zadzierzysty, myślę sobie — dlaczego jeden człowiek ma takie ciężkie życie, a drugi wyleguje się na miękkich pierzynach? Rewolucją się wtedy nie zajmowałem, ale zupełnie ciemny nie byłem, czytałem różne książki — i Czernyszewskiego, i „Manifest komunistyczny”, i Tołstoja, i, bijąc się w piersi, Bakunina, o „Narodnej Woli” i dekabrystach, lubiłem Szewczenkę i Hryćka Osnowianenkę — „Dobrze czyn — dobrze będzie” albo „As-dziewczyna” czy jeszcze „Biegacz stepowy”, powiadam, że zupełnie ciemny nie byłem. Chodziłem na majówki, uciekałem przed kozakami, wiedziałem, co to nahajka, chętnie czytałem nielegalne proklamacje i dawałem je innym, ale do aresztu nie doszło, więc nie byłem prawdziwym rewolucjonistą, bo co z ciebie za rewolucjonista, jeżeli nie siedziałeś w więzieniu!

Taka była moja młodość, ojca i matki nie pamiętam od dzieciństwa, ojciec oparzony surówką umarł po dwóch dniach, matka nabawiła się suchot jeszcze w zakładach chemicznych, sierotą byłem, kiedy zacząłem wytapiać stal, w niedzielę pędziłem gołębie — a miałem przeróżne. Aż pewnego razu nad stawem — nie dziwcie się, że po raz drugi wspominam o tym stawie — spotkałem towarzysza i poczułem, że zakotłowała się we mnie i przemówiła pełnym głosem świadomość rewo-

lucyjna, wprost wezbrała we mnie niczym czerwony pęcherz, jaki widzą piecowi, gdy z surówki wychodzi węgiel. Płonęła we mnie tak, że przyłożyłbym rękę do każdego wywłaszczenia albo strzelałbym do ministra czy do samego cara Mikołaja Krwawego.

Powiecie mi, że nie w ten sposób stają się ludzie rewolucjonistami, ale pozwólcie mi powiedzieć wam tym razem, że spotkałem wówczas nad stawem moją drogą małżonkę i towarzysza w osobie smukłej, ciemnowłosej dziewczyny, córki urzędnika zakładów, zesłanej do ojca na głuche stopy donieckie po przetrzymywaniu jej przez cały rok w więzieniu jako podejrzanej o przynależność do pewnej organizacji.

Wytapiać stal — to robota delikatna, ciężka i skomplikowana, żeby stal była żądanej marki, na język jej nie weźmiesz, palcem nie pomacasz, a może być ta stal kwaśna i krucha, może się rozsypać pod uderzeniem lub pękać przy rozciąganiu.

Węgla musi być w niej tyle, ile przewiduje norma, a kwaśną stal trzeba redukować — bądź żelazomanganem, bądź aluminium, powiadam, że wytapianie stali to robota bardzo delikatna i powiem wam, że kiedy masz do czynienia z dziewczynami, trzeba być jeszcze lepszym stalownikiem i hutnikiem.

Trzeba ocenić na oko, ile jest w dziewczynie siarki; od której zależy kruchość na gorąco, ile tlenku żelaza, a trzeba dziewczynę odtleniać albo dodać jakichś specjalnych domieszek, żeby nie rdzewiała w życiowej wodzie i nie pokrywała się zgorzeliną przy rozżarzaniu do tysiąca stopni. Żeby sama była magnesem i nie dała się przyciągnąć przez inne magnesy. A potem wylewa się wytopiony metal do wlewnicy i powinno to być samo piękno i delikatność, taka siła i urok, żeby godna była taka żona stalownika proletariackiej klasy.

Lubię takich ludzi, nieustępliwych i upartych, i żeby serca ich nie były obojętne, żeby patrzyli na życie z wysokiej konstrukcji, przypadają mi tacy ludzie do serca, podtrzymują mnie na duchu, szukałem ich i podziwiałem, płonęli niegasnącym, jasnym płomieniem i rozpalali wszystko dookoła do czerwoności, dobry nagrzewnicowy czuwa nad ich płomieniem, pali się tam gaz i nie daje żadnej sady.

Zawsze zazdrościłem takim ludziom, mamy ich tylko niewiele, a trzeba by więcej, miałem taką żonę i nie ma jej, mieliśmy Adamenkę, ale nie ma go również. Zaciskają się nasze pięści, chciałoby się śpiewać i krzyżeć na cały świat: niech rodzą się ludzie piękni i twardzi, niech stają do szeregów, by

walczyć i zwyciężać, walczyć i budować nieopisane piękno socjalizmu!

Niedawno, kiedy kierowałem komuną rolną (partia odwołała mnie stamtąd na stanowisko dyrektora, jako że jestem stalownikiem, wyszukałem wtedy Fridricha Iwanowycza i wytapiamy powoli stal), niedawno, jako się rzekło, poleciłem wyrzeźbić w skale pomnik. Pewien Włoch, specjalista od prawdziwie koronkowej roboty, wyciosał z kamienia najszlachetniejsze piękno, możecie sami zobaczyć na miejskim cmentarzu bohaterów rewolucji.

Pomnik Adamenki stoi nad wodą, na jego otoczonej chwałą mogile, kamienny orzeł szarpie kamienne kajdany, wyrytymi w kamieniu złotymi literami wypisane są wiadomości o jego życiu, dokoła donieckie stopy, upał i huk, staw z zaciekami ropy naftowej — tu spotkałem swoją dziewczynę, została moją żoną i żyliśmy cicho i zgodnie kilka lat.

Urodziła się nam córka, przeżyliśmy wojnę imperialistyczną, powitaliśmy rewolucję, zawitał Niemiec do naszego Zagłębia Donieckiego, ogłosiliśmy wtedy strajk, zakłady stanęły, a ja zacząłem tworzyć górniczy oddział rewolucyjny. Z czasem wyrósł z niego pułk, później nawet brygada, więc zatrzymamy się może na tym fakcie, obejrzymy się na przeszłość, niedaleką i piękną przeszłość, i posłuchajcie, co powie wam zwyczajnie i po prostu stalownik Czubenko.

Wiele było partii, wprost na każdej ulicy — partia, tak żyliśmy w naszym Zagłębiu w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Zostaliśmy wtedy poddanymi nowego państwa, Ukraińcami jaśniepana hetmana.

Niewesoła jest przyroda naszego Zagłębia, hetmańskie państwo stawiało pierwsze kroki, marzyliśmy już o swojej węglowej republice w donieckim kraju. Hetman drukował pieniądze na maszynie, a myśmy zazdrościli i właśnie wtedy poznałem się z pewnym ługanskim ślusarzem, wypiliśmy, zapalili i zabrałem się do tworzenia oddziału partyzanckiego „Cała władza — Radom”. Wygląd miałem wtedy straszny, tych złotych zębów jeszcze nie było, na głowie czarna włochata czapa jak u Czerkiesa za carskich czasów, spojrzenie surowe i głos silny.

Przyjmowałem bolszewików i bezpartyjnych, byle krzepkiej krwi górniczej, zasłużonych wielkopieczowników, nieustępliwych i wytrwałych, takich, żeby się w nich kotłowało, lecz nie przelewało przez brzeg, żeby węgla nie było ponad jeden

procent, słowem, żeby próba wykazywała gatunkową stal. Przyjmowałem do oddziału także takich, co byli niby aluminium — trzeba wiązać gazy w metalu, żeby stal nie kipiała w kadzi. Brałem ze wszystkich wydziałów zakładowych, chłop w chłopa śmiałkowie, tacy, co sobie w kaszę dmuchać nie pozwolą i okoniem staną, nieustępliwi proletariusze wielkiego Donbasu, formowałem tak oddział partyzancki przeciwko Niemcom. Zwerbowałem ze dwudziestu chłopa, a potem wszyscy zostali bolszewikami, wszyscy byli członkami partii najwyższej marki, czytali Lenina i Marksa, dążyli do socjalizmu, a inne teorie nie były im potrzebne.

A kiedy trzeba było zgodnie z uchwałą przeprowadzić czystkę naszych partyjnych szeregów, wyznacziliśmy własne normy, własne minimum; jeżeli pójdziesz sam na kaem albo w pojedynkę bez wahania na pięć celnie strzelających karabinów albo rozpędzisz sztab granatem, jesteś niewątpliwie prawdziwym bolszewikiem, cześć ci i chwała, nasze proletariackie podziękowanie i legitymacja partyjna ze wszystkimi pieczęciami.

Bić się trzeba było na potęgę i rozbiegać na wszystkie cztery strony, kiedy Niemcy otrzymywali posiłki, obiegliśmy tak cały Donbas, byliśmy na północy, przechodziliśmy przez radziecką granicę, otrzymywaliśmy tam trochę broni, rad i ładunek świadomej nienawiści, po czym wracaliśmy w nasze strony rodzinne po partyzanckich tropach, po nie uczęszczanych ścieżkach.

Wyczekiwaliśmy w kryjówkach nowego zadania i oto dotarł do mnie rozkaz podziemnej trójki — ostrzelać pociąg wojskowy, przeprowadzić niewielką akcję i zdobyć broń. Dopomoże ci, towarzyszu Czubenko, ataman Adamenko z chłopską biedotą, a dyspozycja taka i taka — do jeńców żołnierzy nie strzelać, a oficerów rozwalić, życie z nich wypuścić, o wykonaniu zameldować.

Czekam więc wyznaczonego dnia i myślę, jaki też jest ten Adamenko, czy dobrze będzie walczyć z nim ramię w ramię i czy nie zajmie się jego chłopska biedota szabrowaniem. Rozważywszy wszystko i wymiarkowawszy postanowiłem rozkaz trójki wykonać, tyle że przesunąłem swój zegar o jakieś pięć wiorst naprzód, przeprowadziłem akcję sam ze swoją doniecką kompanią i rozgorączkowany po bitwie leżę na trawie i czekam na Adamenkę. Sami wiecie — bijesz się pięć minut, a biegasz potem cały dzień, zmęczyłem się, ledwie dyszę, na

niebie chmura goni chmurę, leśne zapachy, konie skubią trawę, potem się dopiero dowiedziałem, że nabawiłem się zapalenia płuc.

Adamenko nie spóźnił się ani odrobinę, stawiał się ze swoją bracią w pełnej gotowości bojowej, konie były syte, ludzie wyćwiczeni, klacz pod nim złotawej maści aż lśniła — jak też ukrywał taką ślicznotkę przed ludzkim okiem. Zapytałem go o to i odpowiedział, że farbuje ją na kolor khaki i śmialiśmy się wszyscy, cała łąka huczała od śmiechu, wstałem z trawy, żeby się wyśmiać i poczułem kłucie w boku, jakby mi coś skrzypiało w płucach między żebrami, nie udało mi się z tym śmiechem.

Adamenko zeskoczył z konia, wysoki był jak żeliwiak (skąd się właściwie brała odzież na takiego dryblasę), podszedł do mnie, posłuchał chwilę, jak kaszlę, położył mnie na ziemi i zaczął robić masaż. Nie wiem, co to był za masaż, ale pod jego rękoma moje żebra trzeszczały jak zapalki, omal mnie nie załuszył przy tym masowaniu, a potem mi powiedział, że jego fach to medycyna, że był w wojsku felczerem weterynaryjnym.

Przypadł mi od razu do serca ten Adamenko, był z niego bohaterski partyzant, oddałem pod jego dowództwo swoich górników, a sam przechodziłem męczarnie z powodu swego zapalenia płuc. Dawano mi różne proszki i pigułki, ale nic mi nie pomagało, choroba mocno trzymała się piersi, a przecież trzeba się było ukrywać i jeździć konno z tą płucną chorobą. Adamenko powiedział, że nie każdy to wytrzyma, więc postanowiliśmy obaj przeprowadzić radykalną kurację, znaleźliśmy w tym celu zapadłą wioskę, do której żaden Niemiec nie zaglądał, położono mnie, nieboraka, na sianie, na gorącym piecu i przez cały tydzień rozgrzewano ten piec, a siano polewano wodą.

Taka tam była temperatura, tak się tam wyparzyłem w tej parze, tyle krwi ze mnie wyszło, że poczułem się lepiej i postanowiłem nie umierać, a Adamence podarowałem swoją pukawkę. Zaczęliśmy przemyśliwać o połączeniu naszych dwóch oddziałów, nie wiedzieliśmy tylko, jak rozwiązać sprawy partyjne, bo mój oddział był partyjny, a Adamenki niezupełnie.

Nie wiedzieli jego ludzie, czym się wyróżnia w swoim wyglądzie zewnętrznym członek partii, i Adamenko wyznał mi, że chcieli ponakłować sobie gwiazdy na czole, że niby to nie żarty, tylko prawdziwa walka o wolność i żeby każdy mógł

ich poznać z daleka. Potem ponakiuwali sobie gwiazdy na piersiach i każdy z nich miał gwiazdę na piersi, była to ich legitymacja partyjna zrobiona według własnego wzorca. Zastanawialiśmy się, czy władze partyjne pozwolą tak żartować z legitymacjami i postanowiliśmy uznać je za tymczasowe, bo nie sposób na nich zapisywać składki członkowskie, a chłopaków po czystce uznać za pełnoprawnych członków partii.

Wyobraźcie sobie taki obraz — Czubenko leży na piecu, obraca się z boku na bok i wypluwa skrzczonej czarnej krwi, pod nim mokre siano aż syczy na gorącym piecu, cała izba pełna gęstej pary, odetchnąć nie sposób. Przy stole siedzi zasępiiony Adamenko, przez izbę przechodzą jego żołnierze, każdy z gwiazdą na piersiach, wszyscy są fanatykami socjalizmu, zdrajców wśród nich nie będzie, bo takiej partyjnej legitymacji ukryć się nie uda, człek pójdzie razem z nią do grobu.

Kręci mi się w głowie, jęczę na piecu jak buhaj, walczę o życie ze ślepą naturą, widzę przez małe okienko ulicę, drzewa i dalekie stopy, wzbijają się tumany kurzu na nieskończonoj drodze. Chciałbym zobaczyć ten socjalizm, doczekać bodaj do jego początku, jęczę jeszcze głośniej i szarpie koszulę na piersiach.

Adamenko kładzie mnie na wznak i przytrzymuje, nekają mnie majaki, widać przez okienko dzień i ludzi, potem okienko ciemnieje, na dworze jest noc, planeta wiezie mnie na sobie przez dnie i noce i trzęsie się od tego cała izba.

Oto niosą mnie na marach, widzę, jak pali się wiejska drewniana cerkiewka, jak z osmalonej dzwonnicy spadają po kolei dzwony, wpierw duży z jękiem i hukiem, po nim mniejszy z brzękiem, i sypią się wreszcie małe dzwony.

Ocknąłem się i słyszę, jak w izbie śmieje się Adamenko, dowiaduję się, że na zebraniu przekonał parafian, by zabrali do domu cały majątek cerkiewny, bo tylko patrzeć, jak go zarekwirują Niemcy albo różne bandy napadną na cerkiew, wytrzeszą wszystko święte złoto i módlcie się potem do popowskich wrót. No więc pozabierali do domu wszystko, co się dało, już nie była to cerkiew, zabrali parafianie nawet chorągwie, a potem zaczęła się we wsi gadanina, każdy chciał mieć złoty puchar czy inne złote naczynie, słowem, skończyło się na tym, że cerkiew spalono, żeby pokryć wspólny grzech całej wsi.

Adamenko rechotał na całą izbę. Ledwie oprzytomniałem, zajęliśmy się od razu jego pomysłami, bo wprost siedział bies

w jego głowie, bies wysokiej klasy, śmiałek i w dodatku o ciętym języku.

Wytapiam teraz stal, a myślę o Adamence, powiecie pewnie, że wszystko to są drobne wydarzenia z życia partyzanckiego, ale dokoła byli przecież Niemcy, wojska hetmańskie, nieprzyjaciele naszej klasy, a myśmy szli przeciwko nim i walczyliśmy w partyzantce do ostatniego naboju. Nieśliśmy nasze życie w wyciągniętych rękach i ciężko było iść po tej drodze, mało nas zostało przy życiu.

Walczyliśmy na różne sposoby i o jednym wam opowiem, o babskim ataku pomysłu Adamenki.

Otóż był jarmark w stepowej wsi, z czterech stron kurzyło się na szerokich drogach stepowych, turkotały taczanki i furgony niemieckich kolonistów, pobrzękiwały stalowymi piastami wozy stepowego kraju. Różne tony, różne dźwięki, każdy gospodarz poznaje swój wóz po odgłosie wśród tysięcy innych, jak my, towarzysze, poznajemy syreny naszych zakładów, jak maszyniści poznają gwizdek swego parowozu wśród innych gwizdków, cisza stepowa panowała na równym jak stół taurydzkim przestworzu.

Na różne głosy pobrzękiwały piasty kół, ze wszystkich stron bazaru dolatywało porykiwanie bydła, gwarno było i ludno. Chodzą między wozami Niemcy z tłumaczami, kupują bydło za grzywny hetmańskie, te drukowane na maszynie. Niemiecka orkiestra gra swoje marsze i pieśni wojskowe, na wygonie niemiecki batalion ćwiczy w żelaznych czapkach, w pełnym rynsztunku, jedzie na koniu niemiecki major, brzuch mu się trzęsie, niebo jest jak czarne morze nad głową.

Ukazują się na horyzoncie spóźnione wozy, toczą się po drogach, siedzą na wozach tęgie baby i dziewuchy, płoną na słońcu czerwone chustki mołdawskie, wozy zatrzymują się na bazarze, baby zeskakują, otulają się chustkami. Adamenko jest bardzo wysoki, ale spódnice okazały się dla niego w sam raz i wyszywana koszula luźnie opada na potężnych barach — pewnie z rosłej tak samo jak on dziewczyny.

Babska drużyna kręci się między ludźmi, śmieją się chłopcy z takich bab, my zaś umieściliśmy kaemy w odpowiednich punktach, postawiliśmy najlepszych strzelców w sadach i tak natarliśmy ze wszystkich stron, że po pewnym czasie Niemcy zdali się na naszą łaskę i niełaskę.

Bić się trzeba było na potęgę, nie byli to hetmańscy wojacy, którzy usłyszawszy wystrzał mogą się rzucić do ucieczki.

Niemcy walczyli według wszystkich reguł, z początku jakoś im nie wypadało uciekać przed babskimi spódnicami, a myśmy ich kosili z kaemów i była to taktyka partyzancka — przebrać się w kobiece suknie, podejść na bliską odległość, niespodzianie zaskoczyć przeciwnika, nie pozwolić, żeby się rozwinął do walki. Ci i owi pogubili spódnice, ale Adamenko walczył przez cały czas w swoim dziewczęcym stroju z mnóstwem naszyjników z monet i koralami na szyi i nie rozerwała mu się ani jedna nitka, nie zgubił ani jednego dukata z naszyjnika. Wszystko to należało do jego dziewczyny, która oddała ukochanemu cały swój odświętny strój na zwycięską walkę czy może nawet na śmierć.

Opowiem wam także o drugiej bitwie stoczonej według strategii Adamenki, kiedy we dwóch z nim ogłosiliśmy czerwony terror przeciwko hetmańczykom. Byliśmy wtedy osieroceni, oddały za nas swe życie dziewczyna Adamenki i moja małżonka. Znalazł się wśród nas taki, co je wydał hetmańczykom. Pędziłem z oddziałem do naszej donieckiej miejscowości zapominając o niebezpieczeństwie, śpieszyłem na ratunek, zerwała się w nocy straszna burza w stepie, na niebie księżyc przeskakiwał z chmury na chmurę, suche błyskawice przecinały niebo.

Chętnie bym zeskokczył z konia i biegł jeszcze szybciej, przybiegłem za późno, koło stawu z plamami ropy naftowej znalazłem rozstrzelaną żonę, dom był zdemolowany, wszystko rozwalone. Moja dziewczynka pobiegła gdzieś w step i step ją pochłoniął. Usiadłem w izbie na podłodze i przesiadzałem do rana, zrozumiałem, że dla nikogo nie będzie w moim sercu litości, przekląłem hetmańską Ukrainę za swoje nieszczęście, wsiadłem na konia i nie zsiadałem z siodła, póki nie zniszczyliśmy tego państwa wraz z broniącymi go Niemcami.

A zdrajca, co wydał nasze żony, dobrze czuł, że zbliża się do niego powoli niechybna śmierć. Czekał na nią jak na ukochaną, bo daliśmy mu zakosztować wszystkich ludzkich cierpień, przez wszystkie bóle przeszło jego ciało i potem właśnie była owa druga bitwa pomysłu Adamenki, atakowaliśmy ze wszystkich sił, odwdzięczyliśmy się i uiściliśmy wszystkie długie, a w samych procentach od tej krwi można było utopić hetmana z całym jego plemieniem.

Może ktoś z was był w partyzantce lub Czerwonej Gwardii czy w ogóle brał w swoje ręce władzę gdzieś w terenie, więc dobrze wie, jakie panowały w owym czasie nastroje. Myśle-

liśmy, że właśnie w nas bije serce rewolucji, że patrzy na nas cały świat i spodziewa się czegoś takiego, czego nawet w bajkach nie ma, nadludzkiego bohaterstwa, rewolucyjnej zaciekłości. A za nami pójdzie cały proletariatus, więc nie żalowaliśmy niczego na świecie, w naszych oczach wschodziła czerwona planeta socjalizmu, skierowane były na nas jej reflektory, szliśmy i cel był tuż blisko.

Nikt z nas nie miał więcej niż jedną parę portek i podarty płaszcz wojskowy. Gdzieśmy przychodzili, tam powstawała Republika Rad, a było nas bardzo mało i naboje czasem nie strzelały. Republika Doniecka wydawała się nam prześlicznym dziecięciem. Ciężkie mamy za sobą lata, przyjemnie jest teraz wytapiać świetną stal i przypominać sobie naszych żołnierzy, ale wtedy nawet umyć się nie było czasu i postanowiliśmy z Adamenką wybić do nogi całą, liczącą stu ludzi, straż hetmańską w nizinnej wsi donieckiej, zapłacić panu hetmanowi białogwardyjskiego państwa za nasz ból i łzy nie wypłakane, odpowiedzieć jak należy na biały terror i w ogóle.

Przydybaliśmy ich, tę setkę hajdamackiego pułku imienia jego ekscelencji hetmana Skoropadskiego. Długo szliśmy z nimi, nie szeleściła trawa pod naszymi nogami, mało nas było, by podjąć walkę lub zaatakować z zasadzki, szliśmy w dzień, a w nocy patrzyliśmy na gwiazdy i zachlystywali się nienawiścią, Adamenko wyczekiwał okazji; bo nie każda pora roku nadaje się do walki.

Weźcie metal — zgodzicie się, że nie sposób go w tej czy innej chwili wypuścić z marteniaka — i każdy musi być na miejscu, i wlewnice przygotowane, a co najważniejsze — stal musi się wytopić. A ludzi wypuścić do walki — wielka to odpowiedzialność, nieraz zakomenderujesz „do boju!” i aż cały płoniesz, tysiące myśli przemknie ci przez głowę.

Doczekaliśmy się okazji w pewnej wsi mołdawskiej. Była tam duża szkoła, hetmańscy zatrzymali się w niej na noc, a nam tego właśnie było trzeba. Dostarczyliśmy im nocnej rozrywki, ani jeden nie uszedł z życiem, usunęliśmy wartę, podparli drzwi i nuże rzucać w okna zapalone pęki słomy, widzieliśmy ze dworu, jak zrywali się leżący na podłodze wojacy i kropiliśmy do nich z karabinów. Nie uleży człek na podłodze, kiedy spada mu na głowę zapalony wiecheć, nie bawilibyśmy się z nimi długo, gdybyśmy mieli granaty.

Taka była druga bitwa pomysłu Adamenki, a zwykłych walk było bardzo wiele, na trzecią zaś adamenkowską, już ostatnią,

czekaliśmy cały rok. W Niemczech wybuchła tymczasem rewolucja, nam się też przejaśniło w naszych ciemnych głowach. Całą Europę ogarnęła rewolucyjna pożoga, przekazałem dowództwo Adamence, nasz oddział wcielono do Armii Czerwonej, ja zaś pojechałem do cudownego miasta Odessy, dokąd wzywali mnie towarzysze nielegalniacy — walczyć z obcymi okupantami i rekinami imperializmu.

Był rok tysiąc dziewięćset dziewiętnasty, w porcie — pełno okrętów wojennych, całą Odessę podzielono na strefy, tu była strefa wojsk obcych, tam białogwardyjska Griszyna-Ałmazowa, dalej rozpychały się jednostki petlurowskie. Oddziały białych oficerów były się z ukraińskimi petlurowcami, w każdej strefie był kontrwywiad, wszystkie te kontrwywiady pamiętały o nas nawet we śnie, żyliśmy w podniosłej rewolucyjnej atmosferze i o włos od śmierci. Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że była również w mieście bandycka armia Miszki Japończyka, kilkanaście tysięcy uzbrojonych zbirów, którym było na rękę udawać rewolucjonistów — pozwalali sobie na dzikie wybryki na ulicach Odessy, za co odpowiedzialność spadała na nas, bolszewików, bo wszystko, co się przytrafiało w mieście, przypisywano nam.

Kontrwywiady z nóg się waliły szukając nas i w takiej oto trudnej sytuacji żyliśmy naszym partyjnym życiem w ówczesnej Odessie, działalności nie zaprzestaliśmy, powstało u nas kolegium obcokrajowców i czynna była nielegalna drukarnia u pewnego rybaka, ojca mego towarzysza Połowca. Dotarliśmy do francuskich okrętów wojennych, wiecie z gazet o buncie na krążowniku, słowem, coś niecoś zrobiliśmy, nie warto się tym chwalić i żebyście o tym słuchali. Wielu towarzyszy nielegalniaków zginęło, mnie się powiodło i wykręciłem się, nie chowałem się zresztą, ale nie zgrywałem się też na bohatera, w podziemiu najważniejsza jest dyscyplina i wytrwałość, twoje życie należy tam do wszystkich i ryzykować wolno ci tyle, ile pozwoli komitet.

Pozostałem przy życiu i wróciłem do swego oddziału, gdyż pociemniało nagle na horyzoncie, czarne chmury zawisły nad naszym krajem radzieckim, innymi słowy wojska Denikina ruszyły na Moskwę. Nasze jednostki Armii Czerwonej cofały się na północ, burżuazja w miastach odprawiała dziękczynne modły i tak się radowała, że omal nie porozbijiała wszystkich dzwonów, pora była odpowiednia, wiedzieliśmy, że wróg jest bezlitosny, zrobią generałowie z Rosji jedno carskie więzienie.

Znalazłem mego Adamenkę na froncie, dowodził pięknym pułkiem, nie było w tym pułku dwóch jednakowo ubranych żołnierzy. Niewesołe było nasze spotkanie, zastanawialiśmy się długo, co robić, a potem poradziliśmy się, gdzie należało, zabraliśmy z pułku odpowiednich ludzi z Donbasu i wyruszyliśmy obaj z Adamenką na zaplecze Denikina, do naszego zadymionego, kochanego Zagłębia Donieckiego z jego jarami i stepami i czasu tam nie traciliśmy.

Dużo węgla nie dopuściliśmy do denikinowskich parowozów i zakładów, nie pozwalaliśmy produkować maszyn i broni, cały Donbas był w partyzantce, każda wieś nas karmiła, każda fabryka ukrywała, znała nas każda kopalnia. Słońce donieckie grzało, walk stoczyliśmy wiele, wciągano nas w zasadzki, przyłapywano w różnych zakątkach, w końcu zmuszeni byli odwołać z frontu oficerski pułk drozdowski i skierować przeciwko nam. Wtedy właśnie odbyła się trzecia bitwa pomysłu Adamenki.

Burzy się w niektórych chłopcach niespokojna krew i zachciewa się im pisać różne opowiadania o naszej wojnie domowej, piszą piórami i ołówkami jak opętani — wyobrażają sobie, jak my, goli i bosy, pędzimy zbrojne zastępy nieprzyjaciół, pułki oficerskie rzucają broń i proszą o łaskę — tak się spodobalo młodemu pismakowi. A myśmy zakosztowali tego wszystkiego i serce nas boli, złość bierze i chętnie byśmy im nawymyślali, bo żaden to zaszczyt zwyciężyć takiego wroga, a nam przecież szczęście z nieba nie spadło, zdobywaliśmy je w trudzie i znoju, a pułki oficerskie w przystępie rozpaczy były się na śmierć i życie, dobrze się biły. Tym większa więc chwała opromieniła naszych żołnierzy, bo walczyli z takim zaciekłym wrogiem i złamali taką wielką jego siłę.

Oficerski pułk drozdowski był w dobrym stanie, pułkownicy pełnili tam funkcje plutonowych, a kapitanowie i porucznicy walczyli jak zwykli szeregowcy, dowodził nimi doniecki chorąży, który w ciągu roku został generałem. Skoro skierowano przeciwko nam ten pułk, więc dobrze daliśmy się nieprzyjacielowi we znaki, wprawdzie strach nas oblatywał, pocieszałyśmy się, że wyróżniono naszą sprawność, że wystąpiła przeciwko nam najlepsza jednostka nieprzyjacielska.

We dwóch z Adamenką przesiedzieliśmy dwie noce w kopalni soli, naradzaliśmy się, sprzeczaliśmy, kombinowaliśmy, Adamenko miał dobrą głowę i w jego właśnie głowie zrodził się plan tej bitwy, ja tylko wprowadzałem poprawki i przedstawiałem

to i owo na tor praktyki. Pułk drozdowowski tymczasem obmacywał okolicę, przychodziły tam do nich różne miejscowe kanale, ze wszystkich stron napływały informacje, nasi ludzie też tam chodzili i gadali tak, żeby ich wprowadzić w błąd.

W ich sztabie wrzała praca, próbowali nawet skaptować sobie robotników, nie byli to ci oficerowie, co pili na zapleczu, spekulowali, podkopywali swój front, był to bojowy pułk fanatyków monarchizmu i jednolitej Rosji. Pili tak, żeby nie widziała tego ludność, likwidowali naszych towarzyszy po cichu, ukradkiem, udawali owce, a byli wilkami i umieli na swój sposób służyć swojej czarnej klasie. Sądzono nam było stanąć oko w oko z tym drozdowowskim pułkiem oficerskim, a było to zadanie, prawdę mówiąc, bardzo odpowiedzialne.

Znacie stopy donieckie i stepowe jary, gdzieś tam toczy się rzeka wśród niskich brzegów porośniętych sitowiem i turzycą, wznoszą się kolosy hutnicze, dymią marteniaki i piece kokosownicze, hałdy przy kopalniach znaczą ogrom ludzkiej pracy pod ziemią. Trzeba było wyszukać w tej ciasnocie odpowiednią dolinkę, po której płynęłaby rzeczka i było sitowie oraz inna wysoka trawa, z pomocą różnych podstępów należało tam ściągnąć denikinowców i doprowadzić ich do takiego starcia, do jakiego ich właśnie dowiedliśmy.

Był to wysoki kunszt partyzancki, jednostka regularna chyba nie dałaby sobie z tym rady, podzieliliśmy nasz oddział na dwie części, rozjechaliśmy się zdążając na upatrzone miejsca i zaczęliśmy podnosić wrzawę. Drozdowczycy też się podzielili na dwie części i zaczęła się trzydniowa batalia prowadzona według taktyki partyzanckiej. Dobrze mówi nauka, że nic trudnego plan nakreślić, trudne jest jego wykonanie, że przeprawa przez rzekę po szyję w lodowatej wodzie, po ostrych kamieniach trochę przypomina trudności, na jakie natrafia dowódca wykonując plan.

I ja, i Adamenko prowadziliśmy swoje oddziały, mieliśmy się spotkać o umówionej porze i w umówionym miejscu, przez trzy dni cofaliśmy się z walkami i dokładaliśmy starań, żeby się cofać, gdzie należało, nie zaś tam, gdzie popędzi nas nieprzyjaciel. Plan nasz był zuchwały i zawaliłby się w innych okolicznościach.

Nasze dwa oddziały powoli zbliżały się do siebie, za każdym z nich szli drozdowczycy, oddziały nasze wciąż malały, bo rozpuszczaliśmy swoich żołnierzy — zobaczycie potem dlaczego. Opowiedzieć można wszystko w kilku słowach, ale dzieją się

nasze sprawy nieprędko, i mimo to pewnego pięknego dnia pod wieczór spotkaliśmy się z Adamenką, a nasze oddziały zmalały już do kilkunastu ludzi i miejsce spotkania było nie to umówione, lecz inne, które zresztą też się nadawało. Była dolinka, rzeczka i sitowie, rzecz jasna, że z dwóch stron nacierali drozdowczycy i że pozostała nas garstka między nimi. Pozostawiliśmy kilku zdecydowanych na niechybną śmierć ochotników i poszliśmy przez sitowie w bok, w porę wyrwaliśmy się z worka, w odległości jakichś dwóch kilometrów znaleźliśmy naszych chłopców i posiłki z pobliskiej kopalni, no i czekamy, co będzie dalej.

Jednostki drozdowowskie nacierały na siebie wzajem, każda z nich myślała, że natrafiła na nasz duży oddział, moi zaś kae-miści smalili na obie strony. Zmierzchało, z obu stron zaczęła się strzelanina nie na żarty, strzelcami byli dobrymi, kładli jedni drugich trupem, był wieczór, słońce zachodziło za tumanami kurzawy, zanim się zorientowali, że biją się sami z sobą, podeszliśmy z boku i dopomogliśmy im w nieszczęściu. A potem zapadła noc i trzecia bitwa pomysłu Adamenki dobiegła końca. Adamenkę kula trafiła w usta, przebiła język i wyszła gdzieś koło potylicy. Odwiozłem go do znajomego lekarza do szpitala, a potem chodziłem wokół szpitala aż do rana i poruszony do głębi obrywałem nahajką liście na drzewach.

Z rana poszedłem do Adamenki, był sam w pokoju felczera, w łóżku nie leżał. Zobaczyłem, że chodzi z kąta w kąt, był to prawdziwy olbrzym przyszłych czasów, nie z rasy tych o drobnej budowie ciała, głowę miał całą zabandażowaną, widać było tylko oczy i aż zadrżałem, bo takie były czerwone i straszne. Na łóżku leżała koszula i spódnica jego nieszczęsnej dziewczyny, jej korale i naszyjnik z monet. Adamenko zobaczył mnie i chyba chciał coś powiedzieć swoim przestrzelonym językiem, ale machnął ręką i coś jakby iza zakręciła się i błysnęła w jego oczach.

— Nie szkodzi, jeszcze się nagadasz — powiedziałem — przy-szyjemy ci cielecy język.

I aż mi się serce ściska, bo niezbyt wesoło brzmią te moje żarty.

Podszedł do ściany i zaczął pisać na niej palcem okropne słowa o tej suce, o nieuniknionej śmierci, co go chce zadusić w łóżku, więc nie położy się do łóżka, niech go zastanie na nogach i jeszcze różne przekleństwa. Odpowiadałem mu, też pisząc palcem na ścianie, i powtarzałem na głos napisane sło-

wa, a o czym mówiliśmy — nic to dla was ciekawego. Potem uścisnęliśmy sobie ręce i wyszedłem, żeby porozmawiać z lekarzem, a kiedy wracałem, usłyszałem wystrzał z mojej pukawki, Adamenko stał na środku pokoju, z jego piersi tryskała krew jak z odkręconego kurka i oczy miał puste, upadł na podłogę.

A teraz wiecujcie dalej już beze mnie. Fridrich Iwanowycz już tu zaglądał ze dwa razy, już idę, Fridrichu Iwanowycz, idę do marteniaka i niech to już będzie ostatni raz, kiedy przemawiałem w czasie pracy. Pięć lat liczy nasze państwo, wytapiajmy więc stal różnych gatunków, kochajmy naszego Lenina, niech żyje uporczywa i niezachwiana droga do socjalizmu, chwała naszemu Zagłębiu Donieckiemu i wieczna pamięć poległym żołnierzom!

Cena z 42.—